

Nr 14/15 (97/98) Rok IV

DEKADA Literacka

15 IX 1994 Kraków
Dwutygodnik
Nr indeksu 356-875

Rymkiewicz, zaścianek i świat — rozmowa z Czesławem Miłoszem ■ Marta Wyka: Tekst, autor, postać — Szkole pod rozważę ■ Przekłady poezji Eliota i Raičkovicá ■ proza Anny Potoczek, wspomnienia Romana Czerneckiego ■



Rys. Aleksander Pieniek

Krzysztof Rutkowski Hieronim Kajsiwicz ostrzega przed Rutkowskim

18 czerwca 1847 roku ksiądz Hieronim Kajsiwicz pisał z Rzymu do księdza Piotra Semenki: „Okrutne tu były fety wczoraj, w rocznicę wyboru Ojca Świętego. Do bandy czerniącej nas przybył sławny Rutkowski, smarują nas słowem i piśmem ile mogą. Wszystkich i to pod przysięgą”.

24 czerwca 1847 roku Kajsiwicz skreślił kolejny list do Semenki: Teraz mój drogi przed czytaniem dalej pomódł się, bo ja to piszę po modlitwie i po radzie z X. Aleksandrem [Jelowickim]. Bóg widzi z jaką szczerością pisałem o chęci sprowadzenia Ciebie do Rzymu. Tymczasem zupełnie mi się dziś inaczej rzeczy widzą. Pisałem Ci zdaje się w ostatnim liście, że Rutkowski napisał okrutny paszkwil na nas, pod przysięgą oczerniał mnie do Danielewicz. Po domach, po kawiarniach okropieństwa na nas wygaduje.

Nie dość na tym — w dzień Świętego Jana wstrzymał powóz Ojca Świętego i wrzeszczał: „Giustizia! Giustizia! Sante Padre, ja biedny klerk prześladowany w Rosji, a teraz mię lotry ze Świętego Klaudiusza okrutniej tu jeszcze prześladowają”.

Papież przyjął [go] nie może i kazał przyjść za dni 5 do Sekretariatu Stanu. Nie wiem co będzie, ale to wiem, że wszystkie te plotki zaczęły się od twoich nieroztropności. Jakkolwiek wierzę w twoją niewinność, ale to pewna, żeś dał pozory. Ze złych plotek à la longue il en reste toujours quelque chose.

Może wypadnie zacząć proces formalny o dyfamację, a przez wzgląd na Ciebie jesteśmy związani. Dalej te gadki o tobie nie tylko zawczasu ci znane, ale wracający z Paryża i Rzymu Polacy roznieśli po kraju [...]. Dziś jasno przyszłości już jako kapłana czynnego wśród Polaków nie masz.

Ksiądz Hieronim Kajsiwicz nie mógł wytoczyć paszkwilantowi Rutkowskiemu procesu o zniesławienie, bo ksiądz Piotr Semenka, od dawna podejrzany o grzeszny romans z panią Julią Bartoszewicz, przebywał na wygnaniu w Afryce, a Polacy — jak to Polacy — plotkowali, ile wlezie. Gdyby nie Rutkowski, to może Kajsiwicz dotrzymałby danego słowa i Semenkę z afrykańskiego zesłania wcześniej do Rzymu ściągnął i Semenka wreszcie ukończyłby swą broszurę przeciw herezji Towiańskiego, rozgłaszanej przez Mickiewicza. Rutkowski przeszkodził...

27 czerwca ksiądz Hieronim Kajsiwicz pisał o smutnym zdarzeniu do Józefa Hubego, dodając kilka nowych szczegółów: Wspomniałem Wam w ostatnim liście o koalicji lotrzyków i niesłychanych potwarzach rozsiewanych na nas, wszędzie,

po kawiarniach. [...] Ów Rutkowski zatrzymał powóz Ojca Świętego jadącego do Świętego Jana, wołając na głos, że go księży od Świętego Klaudiusza prześladowują gorzej od Mikołaja: „giustizia, giustizia!”.

Papież faktum jego wziął i kazał przyjść do Sekretarza Stanu za dni 5 — nie wiem co się stało odtąd — ale jeżeli to potrwa, wycierpiawszy długo i spokojnie, ponieważ z takich gadek il en reste toujours quelque chose wypadnie może zażądać formalnego procesu. Otóż trzeba nam wprzód koniecznie skończyć z X. Piotrem [Semenką] — mówię to po namyśle i rozmowie z X. Aleksandrem [Jelowickim] — z boleścią to piszę.

6 lipca 1847 roku Kajsiwicz raz jeszcze skarżył się na lotrostwa Rutkowskiego do braci w Paryżu: Moi Najdrożsi! Dziękujemy Panu Bogu za wszystko, a tem bardziej za krzyże. [...] Rutkowski dostał się do Papieża na audiencji publicznej, płakał, skarżąc się na nas, musiał go kazać [papież] odczepić od nóg — posłał do kanonika o informacje o nim, miał [kanonik] powiedzieć, że lotr.

Lotr ani chybi. Na imię miał Andrzej. W pierwszych dniach lipca 1848 roku został wybrany w Mediolanie na porucznika pierwszej kompanii Mickiewiczowskiego legionu. W październiku Siodółkiewicz odebrał Rutkowskiemu w Vercelli komendę. Siodółkiewicz działał z poręki hrabiego Zamoyskiego, który legion Mickiewicza pragnął za wszelką cenę rozproszyć, a Rutkowski zbierał podpisy za oddaniem dowództwa Breańskiemu, chociaż Breańskiego popierał Zamoyski, z czego wynika, że Rutkowski intrygował na wszelkie sposoby.

Nie wiadomo, czy doszło do rękoczynów, czy żołnierze wolności poprzestali tylko na lżeniu się słowem i obrzucaniu błotem pomówień. Na pewno zaś odpruwano z legionowych czamarek białe krzyże Sprawy Bożej. Nie bardzo jednak wiadomo dlaczego.

Gdzie się Rutkowski pojawił, tam wybuchał skandal. Przed Andrzejem Rutkowskim ostrzegał Kajsiwicz. Adam Mickiewicz szczerze nie cierpiał innego Rutkowskiego: Teodora Ernesta, herbu Bończa, który na emigracji uczył kaligrafii, dokarmiał Goszczyńskiego, pisywał wiersze i miał żonę Francuzkę, znaną z matów i tupetu. To ona zwykła mdleć w College de France i pisywać długie listy o niewoli w kole Sprawy Bożej.

Kiedy Goszczyński i Szwycer przysłali 18 stycznia 1848 roku ze Strasburga pismo dla Mickiewicza na ręce Teodora Ernesta

Th. S. Eliot Imiona kotów

Imię kota to sprawa, wbrew pozorom, nietatwa,

Toteż w dłoni długopis mi drży,
Gdy mam wskazać, jak bardzo całą kwestię nam gmatwa
Fakt, że kot ma imiona aż TRZY.

Pierwsze — imię słyszane co dzień z ust właściciela:
Piotr, Wiktoria, Ferdynand, Ramona,
Mścislaw, Ingmar, Alonzo, James, Fabrycy lub Fela:
Wszystko — zwykle, rozsądne imiona.

Wymyślniejsze, którymi czasem koty się wabi,
Kiedy pragnie się skąpać je w glorii —
Tucydyses, Elektra, Dzyngis-Chan, Hammurabi —
Też należą do tej kategorii.

Dodam jednak, że koty — o czym mniej się pamięta —
Mają DRUGIE, godniejsze imiona:

Bo inaczej — skąd wąż ten i pierś dumnie wypięta,
Skąd pionowość prężnego ogona?
Mógłbym tu takich drugich imion dać dłuższy przegląd:
Cosanostradamus, Proto-Prot,

Bombalurina, Mustaffson, Egmont von Eglond;
Każde z nich — jeden tylko ma kot.

Ale nie na tym koniec, nie! W najdalszej gdzieś dali
TRZECIE imię majaczy: my, bladzi

Ze znużenia, daremnie sto lat będziemy pytali,
Gdyż kot tylko je zna — i nie zdradził!

Toteż, ilekroć ujrzysz, że twój kot na tapczanie
W coś w rodzaju sfinksa się przemienia,

Powód jest zawsze jeden: błogie kontemplowanie
Własnego sekretnego trzeciego kociego

Upojnie tajemnego,
Utopiotajnionego,

Nie upodobnionego do niczego innego
I upodobanego najbardziej imienia.

przekład Stanisław BARAŃCZAK

CO NOWEGO
W PRASIE

Dla wielu osób powyżej lat trzydziestu książka kojarzy się głównie z produktem wielkich państwowych wydawnictw; identyfikacja ta rośnie proporcjonalnie do wieku czytelników. Przyzwyczajenie działa silniej niż aktualna rzeczywistość, w której produkcja wydawnictw państwowych stanowi zaledwie kilka procent z kilkunastu tysięcy tytułów książek publikowanych dziś ogółem w Polsce.

A jednak pierwszeństwo przyznawane przez wiernych czytelników starym państwowym oficynom znajduje także racjonalne uzasadnienie: *Jeśli przejrzy się listy bestsellerów okaże się, że książki PIW-u, Czytelnika czy Wydawnictwa Literackiego pojawiają się tam znacznie częściej, niż wynikałoby to z ich proporcjonalnego udziału w rynku. Podobnie częściej znaleźć można ich omówienia i recenzje. Dowodzi to, że książki tych wydawnictw postrzegane są jako ważne dla kultury...*

stwierdza Dariusz Kuziak w artykule „Popiwek od snobizmu” (POLITYKA nr 35). Dopowiedzmy w tym miejscu, że — nie ujmując zasług nowym wydawnictwom prywatnym, z których wiele publikuje bardzo wartościową literaturę piękną a nawet popularnonaukową — stare wydawnictwa państwowe nie pozwalają sobie na drukowanie pełnego „chłamu”, jaki wciąż stanowi ogromną większość prywatnej produkcji. D. Kuziak wykazuje, że trzy wymienione przez niego oficyny mimo znacznej redukcji liczby publikowanych tytułów (od ok. 30 proc. w przypadku Wyd. Literackiego) bynajmniej nie obniżyły poziomu literackiego swej produkcji, która nadal prezentuje najwybitniejsze dzieła beletrystyki klasycznej i współczesnej oraz cenne prace naukowe i popularnonaukowe z dziedziny humanistyki. Ich wydawanie w warunkach gospodarki rynkowej umożliwiające żmudnie wywalczane dotacje: np. PIW otrzymał od Ministra Kultury i Sztuki 3,5 mld zł na serię „Kolekcja prozy polskiej XX w.” a także mniejsze kwoty na pełne wydanie pism T. Boya-Zeleńskiego; Wyd. Literackie uzyskało wsparcia z MEN i MKiS (najwyższe — 180 mln zł) na prace z dziedziny literaturoznawstwa.

Dla cząstkowych wydawnictw szczególnie szczęśliwym przypadkiem jest połączenie atrakcyjności rynkowej z wysoką rangą literacką utworów. Przykładem takiej koincydencji są lektury szkolne, do których zalicza się dziś także wybitne dzieła literatury współczesnej. Stąd właśnie zainteresowanie oficyn takimi seriami jak wspomniana „Kolekcja prozy polskiej XX w.” PIW-u, który ponadto wydaje cykl „Lektury”, jak publikowana od paru lat przez Wyd. Literackie seria „ABC-Klasyka dla każdego”.

Czy można więc twierdzić, że profil wydawnictw państwowych w ogóle się nie zmienił? Zmiany oczywiście są. Warunki finansowe zmuszają bowiem wydawnictwa nie tylko do ograniczania wysokości nakładów (w przypadku np. Wyd. Literackiego nie przekraczają one dziś 10 tys. egz., przeciętnie wynoszą 3-5 tys.), lecz także do rezygnacji z debiutów literackich, z utworów mniej znanych polskich pisarzy współczesnych, oraz z książek adresowanych do wąskiego grona zainteresowanych — o ile nie uzyskają one specjalnej dotacji. Okoliczności zmusiły więc wydawnictwa państwowe do rezygnacji z pełnienia mecenatu wobec środowisk literackich i naukowych, które to zadanie wyznaczało dawniej wydawcom państwu. Powstała tu luka w coraz większym stopniu wypełniają — jeśli chodzi o literaturę naukową — wydawnictwa działające przy wyższych uczelniach (np. w Krakowie Universitas), zaś w przypadku młodej literatury pięknej, zwłaszcza poezji, regionalne wydawnictwa społeczne.

J.L.

Na zajęciach „z romantyzmu” młody wówczas doktor Bogusław Dopart „przestrzegal” swoich studentów przed Jarosławem Markiem Rymkiewiczem. Potem przestrzegano mnie przed Dopartem. Na seminarium romantycznym kazano się mieć na baczności przed Włodzimierzem Szturcem i Martą Pivińską. Jest coś w tym, że pomieszenie i magmatyczność (i magmatyczność!) materii, jaką się badacz zajmuje, zaraża również jego, by posłużyć się ulubionym określeniem profesora Marii Janion.

Pamiętam spotkanie z J. M. Rymkiewiczem zorganizowane przez Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza, w Krakowie, w maju tegoż roku, będące swoistym sądem nad autorem i jego metodologią. Prawie wszyscy obecni, ludzie nauki (m.in.: J. Goćkowski, H. Markiewicz, J. Maślanka, M. Tatar, T. Ulewicz) przyznali, iż owszem czytali serię romantyczną Rymkiewicza. Podobna im się ogromnie kultura i odczytanie źródłowe badacza, nagromadzenie imponowalności, które imponowalnością nie są, bo urastają do rangi problemu, drobiazgowo odwołanie kolorystyki epoki etc. Ale cały ten balast wiedzy nie ciąży we właściwym kierunku. Niezbyt podoba im się sposób interpretowania; mieszanie poziomów, ta organiczna zdolność Rymkiewicza do rozbiórki wszystkiego, bez jakiegokolwiek selekcjonowania.

Rymkiewicz stworzył pewien sposób pisania o literaturze: bardziej interesuje go to, co się nie wydarzyło, a mogło przy splocie pewnych okoliczności. Tworzy specyficzne wizje lokalne, aranżuje spotkania różnych postaci, o różnych „porach”. Sam stylizuje, drapuje historię, by była żmudną — zapętlonym kulturowym, o czymś zapomina, giną mu fiszki. Te opowieści fantastyczne o literaturze unaczyniają raczej historię jego umysłu.

A może nie tylko jego? Współczesne studia nad podmiotowością ludzką są zgodne: rozpad poczucia tożsamości, wielość imperatywów wynikających z odmiennych tożsamości wewnętrznych „ja”, aż po okrzepnięcie suwerennego „ja”, w sobie szukającego oparcia, uwolnionego od obowiązków społecznych.

Pękła bania z romantycznymi rozprawami, przyczynkami, dyskusjami. Zdają się one zmierzać do jednego celu: w jaki sposób współczesnej wrażliwości przyswoić romantyzm? Co ocalało w pokoleniowej burzy o romantyzm? Romantyzm przedlistopadowy? Jakie modele literatury zaproponować?

Maria Janion preferująca szybkie i autorytatywne zawłaszczanie na rzecz romantyzmu, dla której wszystko, co ważne jest romantyzmem podszycie, obecnie przekonana o schyłku romantycznego sposobu myślenia proponuje jego rewizję. Czy dlatego jedną z jej ostatnich pozycji krytyczno-literackich opatrzone krwistą, wampiryczną, podobną do romansów grozy okładką?

W wielkiej dyskusji na temat romantycznego dziedzictwa przyrządzonej przez „Kresy” (widać wielką robotę wampiryczną-hermeneutyczną przy ciągłej reanimacji romantycznego truchła) padają pomysły różne: odgrzebać inne terytoria romantyczne, dokonać świadomie zabiegu pomieszenia — przeczytać teksty „wysokie” jak „niskie” (ba.), nobilitować preromantyczną frenezję, która zdaje się być „nam” najbliższa. Te wszystkie horrory, fantastyka współczesna, fantastyczne odmiany powieści gotyckiej, satanistyczne scenariusze, miłość jednopłciowa, samobójstwo, wariactwo są „in (new) romantic style”.

Gdyby romantycy żyli dzisiaj, to tworzyliby video-

clipsy — rozwijają znaną tezę Janion o ówczesnej wyobraźni dyskutanci, w znakomitej większości jej uczniowie, Ewa Graczyk, Dorota Siwicka, Danuta Sosnowska, Arkadiusz Baglajewski, Marek Bieńczyk, Aleksander Nawarecki — umieścili się zgodnie poza tradycyjnie rozumianą historią literatury, wykręcając się poczuciem istnienia w świecie naruszonego. Stąd zainteresowanie marginesami, przypisami, pisanie przyczynków, półprywatnej historii literatury, grzebanie w lamusie, w szpargałach, bibelotach.

Romantyzm niemilosierdzie „się rozłożył”. Każdy szczegół ma swego badacza, który z kolei kokietuje czytelnika swoją wynikającą z rozłożystości materii, wiedzą cząstkową. Czy to „robacze” bytowanie obecnych historyków literatury, równoległe do wielkich stachanowców analizy, to tylko wynik niemożności powrotu do wielkich syntez, monumentalnych monografi, pęknięcia XIX-wiecznej koncepcji człowieka zupełnego, innych obowiązujących teorii czytania?

Z romantycznej
biblioteczki

Czy raczej brak badaczy zdolnych ogarnąć bogactwo tekstu i stworzyć syntezę, brak genialnej erudycji, intuicji tekstologa. I nadal można podejść się stwierdzeniem Kazimierza Wyki: „Badania nad romantyzmem przypominają socjalistyczną budowę: blok już stoi, ale rur nie dowieźli, materiał rozbabrany”.

To rozdzienie i jednocześnie rozmycie przeżycia i rozumienia romantyzmu uwiiera Martę Pivińską, która stwierdza: „Przydałby się nam teraz jakiś nowy przełom romantyczny”.

Jak zbudowana jest przestrzeń duchowa współczesnego odbiorcy, jaki porządek duchowy i literacki on reprezentuje? Kto dziś tak może powiedzieć i w jakiej konwencji?

„Nie wiem, jak miałaby wyglądać moja przestrzeń duchowa, w której nie byłoby »Ody do młodości«, III części »Dziadów«, »Pana Tadeusza« i wiersza »Do matki Polki«. Byłaby to jakaś straszna czarna dziura”.

Jak uwolnić się od cienia rosyjskiego imperium, nieodłącznego, demonicznego opiekuna naszego romantyzmu, polaryzującego postawy i idee, a jak chce wielu warunków *sine qua non* polskiego romantyzmu. „Nasza polskość jest reakcją na agresję tego imperium” — stwierdza J. M. Rymkiewicz.⁴ Czy aura wszechobjętującego spisku ulegnie samozniszczeniu?⁵ Jaki cień i jakiego imperium jest nam teraz potrzebny?

Nie możemy tu pominąć całej rozbudzonej i egzorcyzmowanej ostatnimi laty sfery demonicznej, problemu teodycei, teologii zła czy sposobów interpretacji historii. Figura diabła wraz z jego literacką świtą (min. szatan Byrona, Miliona, Goethego, diabeł z bajek ludowych) była wielce pojemna, adekwatna do rozproszenia ciemności, jakie wówczas kryły ziemię naszych rodaków. W kontradans dyskusji rozpetanej przez M. Janion, pobieżnym studium „Wobec zła”

wszedł równie lekko Piotr Roguski dając próbę historyczno-literacką pt.: „Kuszenie Polaków, Diabeł w świecie dramatu romantycznego”. Autor „historii literatury, komparatysta, badacz romantyzmu („Tułacz polski nad Renem”, „Poezja i czyn polityczny”) analizuje sceny kuszenia u Mickiewicza, Słowackiego, Garczyńskiego, Zmorskiego, Korsaka. Impionująca literatura podmiotu, najszerze z możliwych spektrum problemowe polskiego romantyzmu, „słuszne” przypisy, a całość powtarza błąd swej mistrzyni — M. Janion. Pobieźne niefrasobliwie podważające tytanów analizy, wnioski pojawiają się jako *deus ex machina*. Autor zgadza się z tym, iż figura diabła „zgodnie z tendencją epoki posłużyła polskim twórcom do rozegrania wielkiej polemiki o sposób i teleologię istnienia zła w ówczesnym polskim kosmosie.

Natomiast pomimo szumnego podtytułu nie uznaje za stosowne zbadać genezy demonów, duchów, szatana. Nie dociekał, podobnie jak żaden z dotychczasowych znanych mi badaczy, semantycznych konsekwencji odwołania się pisarzy romantycznych np. do elementów ludowej demonologii. Po cóż demiurg „Dziadów cz. III” powołał do życia całe zastępy istot demonologicznych: duchy nocne, duchy z lewej strony, duchy z prawej strony, ludowy diabeł z bajki Góreckiego, Belzebub, diabły proste, anioly, Archanioly, Anioł-Stróż, upiór. Po cóż konsekwentnie stylizuje państwo cara na państwo szatańskie. Jaką naturę Boga i Szatana odsłaniają te postaci dramatu „chrześcijańskiego”? Czy pojawia się główny adwersarz Boga? Jaka jest jego proveniencja (literacka, filozoficzna, religijna)? Czy Szatan pokrzywdzony czy ujarzmiony, wrzęgnięty w mił kosmogoniczny?

Rymkiewicz czyta Mickiewicza poprzez wstążki, lipy, bóle zębów czy ich brak. Janion poprzez jaskrawe akty narodowego wampiryzmu oraz poprzez byty imaginacyjne (fantazmaty) — grubo cięte plastyki ojczyzniane wyobraźni. Zdaje się, że metodologia naszego myślenia o romantyzmie nie kosi się na dwóch odmiennych łóżyskach: romantyczny parateizm (szkoła Janion) oraz żmudne historie domniemywań (szkoła Rymkiewicza). Prawdopodobnie jedyną poważną propozycją polemiczną będzie długo jeszcze nie zauważona książka B. Doparta „Mickiewiczowski romantyzm przedlistopadowy”. Wraz z reinterpretacjami cyklu balladowego, Dziadów wileńskich, Sonetów krymskich, Konrada Wallenroda, w nowy sposób omawia autor podstawowe zagadnienia romantyzmu przedlistopadowego (m.in. narodziny romantycznych kategorii interpretacyjnych ludowości a byronizm, scotyzm, tragizm itp.).

Traktując wspomniane spotkanie z J. M. Rymkiewiczem jako swego rodzaju paradygmat dyskusji o romantyzmie, trzeba nadmienić, że byli na nim również obecni znani i mniej znani poeci różnych pokoleń i orientacji. Ale oni milczeli.

A. Kosińska

1) Kresy 1 (17)94

2) tamże

3) Mickiewicz czyli wszystko, z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem rozmawia Adam Poprawa, W-wa s. 14

4) tamże, s. 15

5) zob. monografię problemu i motywu zdrady „Literatura a zdrada” Stefana Chwina, 1993

6) Piotr Roguski, „Kuszenie Polaków, Diabeł w świecie dramatu romantycznego”, W-wa 1993.

7) Bogusław Dopart, „Mickiewiczowski romantyzm przedlistopadowy”, Kraków 1992.

KONKURS
NA MINIATURĘ LITERACKĄ

Celem konkursu jest stworzenie młodym twórcom możliwości zaprezentowania swoich przemyśleń artystycznych ujętych w małą formę literacką typu: **aforyzm, fraszka, haiku lub epigramat.**

1. Konkurs odbędzie się w ramach Górnośląskiego Festiwalu Kameralistyki ARS CAMERALIS SILESIAE SUPERIORIS, organizowanego w dniach 11 — 27 listopada 1994 roku.

2. Konkurs jest imprezą otwartą o zasięgu ogólnopolskim. Jego rozstrzygnięcie będzie miało miejsce w Muzeum Zamkowym w Pszczynie.

3. Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie na adres organizatorów krótkiego utworu literackiego (aforyzm, fraszka, haiku lub epigramat). Utwór musi być oryginalny i nigdzie nie publikowany. Przesyłka powinna składać się z pięciu egzemplarzy utworu, opatrzonego godłem autora, a także z koperty zawierającej imię, nazwisko oraz dokładny adres, opatrzonej tym samym godłem.

4. Termin nadsyłania utworów upływa dnia 15 października 1994 roku.

5. Organizatorzy przewidują publikację nagrodzonych utworów.

6. Prace należy przysyłać na adres: Górnośląski Festiwal Kameralistyki Ars Cameralis Silesiae Superioris Katowice, ul. Ligonja 5/7.

Program II Polskiego Radia, Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Polskie Radio Kraków ogłaszają

KONKURS OTWARTY NA SŁUCHOWISKO
o szeroko pojętej tematyce współczesnej

Organizatorzy oczekują utworów poruszających różne aspekty życia naszego kraju ostatnich pięciu lat (od „okrągłego stołu”) ze szczególnym uwzględnieniem tzw. „szarych stref” nowej rzeczywistości, które nie zdołały jeszcze uzyskać wartościowego literackiego zapisu. Chodzi więc zarówno o krystalizujące się w sporach politycznych i konfliktach społecznych postawy, jak i o bohaterów odpowiadających potrzebom chwili. Tych z pierwszych stron gazet jak i tych, których zwykło się określać bohaterami powszedniości, którzy nie są obciążeni żadnymi, ani pozytywnymi, ani negatywnymi doświadczeniami przeszłości.

Prace w trzech egzemplarzach znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków na stronie) w objętości około 20 stron, oznaczone godłem należy przesyłać na adres: **PROGRAM II P.R., ul. Woronicza 17, 00-950 Warszawa, do dnia 31.XII.94 r.** (decyduje data stempla pocztowego), z dopiskiem na kopercie: „Konkurs na słuchowisko”. Do przesyłki należy dołączyć zamkniętą kopertę z tym samym godłem zawierającą imię, nazwisko i adres autora. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 15 lutego 1995 roku.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody:
I nagroda — 20 milionów złotych, II nagroda — 12 milionów złotych, III nagroda — 8 milionów złotych, oraz trzy wyróżnienia po 3 miliony złotych.
Jury zastrzega sobie prawo do innego podziału nagród.
Nagrodzone słuchowiska zostaną wyemitowane na antenie Programu II i będą honorowane według obowiązujących stawek.

WOJEWODA SZCZECIŃSKI
PREZES ZARZĄDU POLSKIEGO RADIA Szczecin S.A.
ogłaszają konkurs pn.
NAD ODRA I BALTYSKIEM
na opowiadanie oraz słuchowisko

Wydarzenia ostatnich lat zamykają pewien okres dziejów Pomorza Zachodniego i przed jego mieszkańcami otwierają nowe perspektywy. Wchodzimy w czasy istotnych przemian politycznych i gospodarczych. Niestety udział w nich literatury jest niewielki.

Organizatorzy konkursu zachęcają wszystkich twórców zrzeszonych i spoza stowarzyszeń do wzięcia udziału w ogłoszonym konkursie, do podzielenia się z czytelnikami i słuchaczami refleksją nad tym, co jest już przeszłością, jak i przemyśleniami o naszej współczesności.

Konkurs ma charakter zamknięty i otwarty. Do udziału w konkursie zamkniętym zaproszeni zostaną pisarze ligitymujący się już dorobkiem twórczym, natomiast w konkursie otwartym może wziąć udział każdy.

NAGRODY

I. W kategorii opowiadań:
I nagroda — 10 mln zł., II nagroda — 8 mln zł., III nagroda — 6 mln zł., oraz pięć wyróżnień po 3 mln zł.

II. W kategorii słuchowisk:
I nagroda — 15 mln zł., II nagroda — 13 mln zł., III nagroda — 5 mln zł., oraz pięć wyróżnień po 5 mln zł.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do innego podziału nagród. Autorom będą przysługiwać honoraria z tytułu upowszechnienia prac nagrodzonych.

Prace, o objętości od 15 stron znormalizowanego maszynopisu do 25, w trzech egz., opatrzone godłem, wraz zamkniętą kopertą z pełną informacją o autorstwie należy nadsyłać do 5 stycznia 1995 r. na adres:

Polskie Radio Szczecin S.A.
ul. Niedziałkowskiego 24, 71-410 Szczecin
z dopiskiem:
Konkurs NAD ODRA I BALTYSKIEM
Ogłoszenie wyników konkursu w kwietniu 1995 roku.

Rymkiewicz, zaścianek i świat

Mamy rozmawiać o Jarosławie Marku Rymkiewiczu, który ostatnio stał się kontrowersyjną postacią naszego życia umysłowego. Niedawny Europejczyk przedzierzgnął się w pieczę zaścianka i wyznawcę gminności, klasyk ukazał oblicze gorliwego ucznia Mickiewicza. Popędliwi w słowach mówią, że Rymkiewicz zwariował, bardziej umiarkowani — że jego koncepcje są świadectwem zagubienia polskiego inteligenta, któremu nagle wolność podeszła do gardła. Oczywiście, Rymkiewicz ma zwolenników; nie brak też takich, którzy sądzą, że się po prostu bawi, że odgrywa kolejną pisarską rolę. Jednym słowem Rymkiewicz „śmiesz, tumani, przestrasza”, by cytować jego ulubionego poetę. Czy Pan sądzi, że to, co pisze Rymkiewicz, można i należy traktować poważnie?

Ja się opieram na rozmowach Adama Poprawy z Rymkiewiczem, tak że nie będę się wypowiadał na temat innych jego oświadczeń. Otóż ja traktuję bardzo poważnie Rymkiewicza. O ile rozumiem, jemu chodzi po prostu o to, że Mickiewicz ustalił sytuację egzystencyjną bycia Polakiem, urodzenia się Polakiem, i odpowiedział na pytanie, co to znaczy. Bycie Polakiem, to znaczy życie w cieniu Imperium. O ile rozumiem, Rymkiewicz nie chce przez to powiedzieć, że to jest dobre, tylko że taka jest sytuacja narzucona przez historyczne okoliczności. Czyli założenie, można powiedzieć, jest pozaliterackie. Założenie jest historyczne. Można się z tym zgadzać, albo nie zgadzać. Ja jako jeden punkt dla Rymkiewicza przypomnę, że próby ucieczki od tak rozumianej polskości, czy też buntu, były już w dwudziestolecu. Począwszy od Lechonia: „A wiosną niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę”. Przy czym Lechoniowi jak na ironię, jak na zemstę losu, tak się złożyło, że stał się potem najzupełniej zamknięty w polskości. Pamiętam z mojej młodości szkolnej bunt przeciwko tym wszystkim martyrologiom, które jak nam się wydawało, należały do przeszłości. No i okazało się, że te nasze złudzenia były krótkotrwałe. Że nastąpił powrót, i to jakil pełną parą, oglądaliśmy to w czasach wojennych, postawy romantycznej. Toteż i Rymkiewicz może rozumować mniej więcej tak: wy tam sobie gadacie, Europa, Europa, a sytuacja historyczna i geopolityczna ma swoje stałe paradygmaty.

A czy nie warto przekroczyć w myślach tej sytuacji po to, by uzyskać czy odzyskać obszar wewnętrznej wolności?

Wie pani dobrze, że ja nie dzielę tej perspektywy Rymkiewicza, ponieważ jestem z prowincji, i zaścianka i bardzo wcześniej w młodości przeciwko zaściankowi się buntowałem. Niemniej wypowiedź Rymkiewicza jest taka, jaka powinna się była pojawić (nawet dziwię się, że tylko jeden się taki pojawił), że względu na sprawę szukania tożsamości wobec całkowitego ujednolicenia kultury czy cywilizacji w skali planety. Ta wielka inwazja jednolitej cywilizacji — coca coli, hamburgerów — ona jest zarówno w Polsce, jak w Nepalu, jak w Chinach, choć tam z pewnymi modyfikacjami. Postawienie zapory przez marksizm się nie udało; a zresztą już PRL był pełen tych elementów, to przenikało stopniowo. Wobec tego powstaje pytanie o narodową tożsamość w tym układzie. Bardzo ważne pytanie.

Ale czy sądzi Pan, że ostre przeciwstawienie Polski i Europy, europejskości i polskości ma sens? Że jest ono płodne intelektualnie i uczuciowo? Że dzięki temu przeciwstawieniu ta polskość uzyskuje walor?

Dla mnie to nie są teoretyczne rozważania. To są rozważania praktyczne. Bo mieszkając bardzo długo na Zachodzie miałem problem, jak się ostać. Czy mogę się ostać nie rezygnując z tego, czym jestem. Bo przecież cały czas występowałem na Zachodzie jako szlachcic zaściankowy. Tak...

Takiego zdania był Gombrowicz?

Tak. Myślę, że Gombrowicz bardzo się tu nam wszystkim przysłużył, bo on nawoływał do tego, żeby się nie poddawać, żeby być sobą

Z Czesławem Miłoszem rozmawia Teresa Walas

i wygrywać albo przegrywać na własny rachunek.

Ale wracając do tego ostaniam się na Zachodzie. Jak Pan bronil siebie i swojej przetrzeźni?

No przede wszystkim bronilem się językiem. To znaczy: nie zmieniłem języka. Gdybym był zmienił język, to bym zmienił osobowość. I bronilem się krajobrazami Litwy. Całą moją zaściankowością się bronilem.

Czyli gminność? Tak jak Rymkiewicz mówi? Gminność naszą ostoją?

W pewnym sensie tak. Ale ja to rozumiem inaczej niż Rymkiewicz. Ponieważ zacząłem bardzo wcześnie od buntu przeciwko temu zaściankowi. I uważam, że można ustalić pewien stosunek — że użyję tego wyrazu: dialektyczny...

To nie jest bezpieczne słowo...

...dialektyczny do wszystkiego, co reprezentuje Zachód. I tu powracamy znowu do Gombrowicza. Chodzić po ogrodzie, spróbować gruszkę, śliwkę. To dobre, to jakieś nie dla mnie. Czyli brać to, co w jakiś sposób zgadza się z moim dziedzictwem, z moją tradycją, i co dzięki temu może być zasymilowane. Dlatego że strojenie się w cudze piórka, w mody zachodnie nie może się udać; będzie zawsze jakiś fałsz. Z tego powodu, kiedy powinienem był pisać co innego, pisałem we Francji *Dolinę Issy*, najzupełniej staroświecką powieść. Lub weźmy na przykład moją poezję: bardzo jest mi przyjemnie być drukowanym w „New Yorkerze” na moich własnych prawach. Czyli poezja pisana nie na modłę zachodnią, lecz moja własna, wywodząca się ostatecznie ze źródeł polskich, ponieważ każda poezja tkwi w języku. Oczywiście, za to się płaci. Pewne rzeczy nie mogą być przetłumaczone. Na przykład *Traktat poetycki*. Został przetłumaczony na rosyjski przez Natalię Gorbaniewską, bo tam te rozmaite aluzje historyczne są łatwiejsze do zrozumienia. Ale dla czytelnika anglosaskiego zbyt trudne. Tak że niektóre rzeczy są pisane na przepadłe. Myślę też, że niektóre moje książki są pisane trochę po to, by oświecić Zachód. Są pedagogiczne w swojej intencji. Tak na przykład *Rodzina Europa* jest w pewnym sensie książką pedagogiczną. Można powiedzieć, że nawet *Dolina Issy*, i nawet dużo wierszy ma charakter pedagogiczny. Starają się uświetnić mały kawaleczek, kącik ładu europejskiego. Więc to jest, jak powiadam, dla mnie wszystko bardzo osobiste.

Powróćmy wszakże do tego zaścianka, do tej gminności, w której Rymkiewicz widzi ocalenie, a którą Pan także w jakiejś mierze uważa za coś wartościowego. Na marginesie: wydaje mi się, że Rymkiewicz często idzie Pana śladem, ale albo tego nie widzi, albo nie chce się do tego przyznać, bo musi Pan być dla niego niepokojącym mieszkańcem: nosi Pan w sobie cnotliwy zaścianek, ale i grzeszny liberalizm, swoją więc osobą zaprzecza Pan tej klarownej dychotomii, jaką on sobie stworzył.

Wie pani dobrze, że gdy napisałem swoją *Historię literatury polskiej* zarzucali mi i zarzucają, że jestem antykatolicki, że protestantów, oświeceniowców proteguję. Oczywiście, można mnie tak zaklasyfikować.

A co Pana naprawdę od tego zaścianka różni?

Myślę, że moje zainteresowania teologiczne. Ponieważ ostatecznie naprawdę wydaje mi się, że klucz do problemów XX wieku to są zagadnienia religijne, to są także zagadnienia nauki współczesnej, poeinsteińskiej, fizyki, która się ciągle rozwija i zmierza w bardzo ciekawym kierunku. Może niezupełnie zgodziłbym się z Capra, który napisał *Tao fizyki*, ale to wszystko jest bardzo istotne dla naszego stulecia. I ponieważ katolicyzm odgrywa taką dużą rolę w kulturze polskiej, więc w tym — w rozważaniach teologicznych ja widzę różnicę pomiędzy mną i zaściankiem: Przy czym to



niesłuszne, co mówią o *Ziemi Ulro*, że ja tam występuję przeciwko nauce, za spirytualizmem. Nieprawda. Ja w tej książce mówię o kosztach nauki i technologii. Jak wiadomo, jest zatrucie środowiska spowodowane przez naukę i technikę. Ale to nie znaczy, że musimy naukę i technikę odrzucać.

Rymkiewicz bardzo ostro przeciwstawia — za Mickiewiczem — rozum i serce, racjonalizm i irracjonalizm. To jednak w jakiejś mierze przypomina poglądy wyłożone w *Ziemi Ulro*...

Różnica między mną i Rymkiewiczem polega na tym, że ja, tak, niestety, niestety, jestem umysłem dialektycznym, co mi wyrzucano...

Ale nie chce się Pan poprawić?

Nie, nie chcę całkowicie się poprawić, chcę „przewyciążyć zachowując”. Bo z pewnością wszystkie moje instynkty począwszy od szkoły już, były buntem. Buntem przeciwko rozrzucającej polskości.

W przeciwieństwie do dzisiejszego Rymkiewicza, który chce się cały oddać rozrzucającej polskości.

To jest sprawa, która kiedyś zajmowała, jak wiadomo, Stanisława Brzozowskiego. Opisywał to w powieści *Sam wśród ludzi*, która przedstawia tę problematykę w XIX wieku. Ja, jak pani wie, starałem się Brzozowskiego propagować, po to, by usłyszeć od Gombrowicza: „Jaki Brzozowski? On w ogóle nie istnieje! Szlachcic, ten od średnich temperatur, jest o wiele ciekawszy, lepszy niż Brzozowski!”. Ja bym się nie zgodził z Gombrowiczem. Ale wydaje mi się, że staram się ciągle siebie na nowo określać. Nie chcę się zatrzymywać na żadnej pozycji ustalonej, ale ciągle myślę na te tematy. Myślę na tematy dlatego, że mój język jest polski.

A czy — jeśli pominąć język — pytanie o polskość własną jest w ogóle problemem Pana umysłu, Pana ducha?

To jest problem nacjonalistów.

Czy aby nie upraszczamy? Może to jest problem ludzi, którzy są przekonani, że nie istnieje człowieczeństwo abstrakcyjne, wolne od narodowej determinacji? Że w sposób naturalny i konieczny bywamy określanii przez przynależność narodową? Że to, co uniwersalne, jest zawsze partykularne w swoim pojęciu?

Dobrze, więc odpowiem tak. Absolutnie nie wierzę, żeby można było wykręcić się od tych problemów, wyrzucając nacjonalizm na śmietnik, uważając, że to nie ma żadnego znacze-

nia, że jesteśmy ludzie nowoczesni. Ale Rymkiewicz pomija jedną rzecz, bardzo ważną. Mianowicie, że romantyzm, w każdym razie w naszej części Europy, był politycznie nacjonalizmem. I tutaj powoływałem się nieraz na Ernsta Gellnera, profesora w Cambridge, który twierdzi, że nacjonalizm pojawia się w chwili przejścia mas ludzkich od kultury mówionej do kultury pisanej. Jeżeli zastanowimy się nad tym, czym była Polska łącznie z polskim zaściankiem na przełomie XVIII i XIX wieku, to przekonamy się, że to się trzyma, bo to akurat był moment przejścia od kultury mówionej do pisania i czytania. Powiedziałbym nawet, że *Ballady i romanse* to jest klasyczny manifest nacjonalizmu w tym sensie. Otóż nacjonalizm był tą siłą w XIX wieku — jak wiadomo zresztą, nacjonalizmy inne: czeski, ukraiński, litewski czerpały z tego polskiego romantyzmu. I to w XIX wieku było połączone z dziedzictwem Oświecenia, Rewolucji Francuskiej, wezwaniem demokracji i tak dalej. Więc to jest cała szczytna, że tak powiem, historia. No, ale nie można o tym mówić pozahistorycznie. Oczywiście ten nacjonalizm czy romantyzm w XX wieku inaczej się przedstawia. Z tego powodu to, co ja nazwałem wskoczeniem natychmiast po 39 roku „w skórę tę samą”, romantyczną, nacjonalistyczną, było w pewnym sensie objawem, prawdopodobnie nieuniknionym, ale bardzo regresywnym.

Użył Pan słowa dla opisu myślenia Rymkiewicza niezwykle, tak mi się przynajmniej wydaje, trafnego. Jego koncepcja bowiem ma wyraźne cechy utopii regresywnej. Czy Pan sądzi, że taka utopia regresywna może wydać owoce? Że można znaleźć schronienie w kulturze, która minęła, żyć w imitacji?

Wie pani, to nie jest tak, że przeszłość znika i już nigdy nie ma nawrotu. Jeżeli weźmiemy podział, który istniał w historii intelektualnej Rosji, podział na obóz okcydentalistów i słowianofilów, to to się odradza ciągle w historii Rosji. Tak samo romantyzm, czyli nacjonalizm w kulturze, w literaturze polskiej, musi mieć nawroty. Pytanie tylko, w jaki sposób my dajemy temu radę. Oczywiście, że jeśli weźmiemy kulturę Rosji, to ciągle są nowe ujęcia słowianofilstwa, jak powiedzmy — Solżenicyn, i nowe ujęcia okcydentalizmu. Myślę, że tutaj dotknąłem czegoś istotnego. Bo tak jak spór okcydentalistów ze słowianofilami w Rosji, tak samo spór z polskim romantyzmem jest częścią naszej tożsamości. Ale na chwilę jeszcze wróć do pytania, które wcześniej mi pani zadała. Naturalnie moja tak zwana polskość jest trochę rozchwiana z tego powodu, że pochodzę z bardzo mieszanego etnicznie obszaru. I jeszcze moja rodzina wciąż nazywała

Stevan Raičković

Monolog na Topli

przekład z serbskiego Julian Kornhauser

Na małym murowanym tarasie w domku Andrića na Topli w zielonkawym Herceg-Novi (Do połowy pod dachem

Od połowy na trawniku)

Wczesny zmierzch marszczy się na naszych twarzach

i na drzewach owocowych w ogrodzie kiedy siedząc

za stołem patrzymy jak zapada mrok

I mój gospodarz

Jakby w końcu doczekał tego żeby się schować albo przynajmniej

byle czym zasłonić

Zaczyna mówić

Jakby podnosił z murowanej i ręcznie wygładzonej

podłogi moją przyziemną opowieść

I ona teraz unosi się nad nami nietknięta

jak coś nowego czego nawet zmierzch

który powoli obejmuje całą okolice

nie może objąć

„Widzi pan te zapalki

Tam w górach

Te papierosy

Te małe iskierki

Które ledwo-ledwo

Tlą się

O, właśnie w taki sposób

rodził się włoski faszyzm.

Akurat wtedy byłem

we Włoszech...”

I spoglądając na sąsiednią górę

która coraz bardziej zniknęła

w mroku i coraz silniej

od czasu do czasu pobłyskiwała

Ivo Andrić opowiadał o Luigi Pirandello

I o premierze

Jednej z jego sztuk

W Rzymie

Na której młodzi faszyści z galerii

po każdym akcie zgodnie wygwizdywali

obecnego w teatrze sławnego autora

„A kiedy później przejęli

Władzę

Wzięli go ze sobą

I wydzwignęli wysoko

Z powodu jego znaczenia w świecie

(I oczywiście

z powodów osobistych)

I stary pisarz (może nawet i z serca)

powoli całkiem się im oddał...”

Wychodzę z tarasu

Przez trawnik

I gęstniejący już zmrok

Zbliżam się do żelaznej bramy

Która za mną

Przeciągle zaskrzypiała

Jakbym jakąś ciężką spuścił zasuwę

za swoim podstarzałym gospodarzem

i jego młodzieńczą opowieścią

(I nie przeczuwałem w tej chwili jak długo

jeszcze on ona i ten zmierzch będą przebywać

w mojej pamięci jak w jakimś lochu

I że tę zasuwę

Spuściłem i dla siebie).



Ivo Andrić, rys. Momo Kopara

DOKONCZENIE ZE STR. 3

siebie Litwinami w takim sensie, jak Piłsudski siebie nazywał. Więc tu jest jakieś rozchwianie. Ale kiedy mnie pytają, czy pan jest Polak czy Litwin, to ja wiem, że to jest pytanie nacjonalistyczne. Dlatego że ja jestem przecież cały czas zajęty tworzeniem języka polskiego. Całe życie spędziłem na byciu za czymś w języku polskim, przeciwko czemuś. No to to jest zaangażowanie chyba zbyt poważne, żeby wymagało jeszcze dodatkowych deklaracji.

Wykażę jednak dość uporządkowanie i wrócę do problemu tej „regresywnej utopii”. Bo to jest coś innego niż twórcze korzystanie z tradycji. Rymkiewicz chce zbudować romantyczny skansen, zarzycić się w nim i w towarzystwie Mickiewicza zbawiać duszę. Czy to nie jest urojenie?

Nie, wydaje mi się, że i pani, i wielu ludzi, którzy atakują Rymkiewicza, nie zupełnie są fair w stosunku do tego, co on pisze. On mówi tak: wy tam sobie możecie się wymądrzać, ale cień Imperium jest stały. Nie ulegajcie złudzeniu. Robicie sobie jakieś takie fiki miki teraz, bo wydaje się wam, że jesteście wyłączeni z tamtych tragedii historycznych, ale one są, one ciążą. I one was zmuszą. Wezmą was za kark i z powrotem zmuszą. Dlatego uświadomienie sobie tego wzoru Mickiewiczowskiego jest pożyteczne.

Ale ja mam na myśli coś innego: to tworzenie zaściankowej scenografii w życiu współczesnym. Chęć ożywienia PANA TADEUSZA w dzisiejszej Polsce, która z zaściankiem nie ma nic wspólnego. To jest to, co romantycy zarzucali klasykom: imitacja imitacji. Wielka stylizacja, która dla Witkacego oznacza śmierć kultury...

Dla mnie Pan Tadeusz jest wielkim dziełem, jest znakomitym genialnym dziełem, ale nie bardzo rozumiem, w jaki sposób Sopicowo, i zaścianek kolo Nowogródka może stać się wzorem dla chłopca z Podhala czy z Wielkopolski. To jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe.

No i dla Rymkiewicza urodzonego w Warszawie, mieszkającego na ulicy Filtrów...

Aczkolwiek tutaj przypominam, że Aleksander Wat w *Moim wieku* mówił, że Polska, która powstała po 18 roku, to była Polska, która nie miała żadnej innej kultury niż kultura szlachecka. I że Polska składała się z gospodarstw chłopskich, ale właściwie każde gospodarstwo chłopskie było jakby miniaturą Sopicowa. Nie wiem. Ja podaję to tak, jak mówił Wat, przypominam. Czyli — jak silnie siedzi ta tradycja Pana Tadeusza łącznie z rozmaitymi okolicami. To znaczy tradycja sąsiadującego kościoła, obrzędów katolickich połączonych z sezonem, z kalendarzem, z rokiem. To wszystko można uważać za pewnego rodzaju chroniącą otoczkę. Bo jakie jest straszliwe przekleństwo, które spadło na Rosję? To jest całkowite wykorzenienie. To znaczy: zamiast ludzi wiedzących, skąd są, są masy jakichś zatamizowanych obywateli sowieckich. Z tego punktu widzenia na przykład literatura o korzeniach chłopskich w PRL, która też czerpała z tradycji rodzimych, przedłużała jakiś rodzaj zakorzenienia. Myślę o Nowaku na przykład. Czyli to może mieć jakąś wartość ochronną.

Ale czy taki powrót do tradycji można sztucznie wytworzyć? Zaprojektować? Przecież to będzie jakiś rodzaj narodowego folkloru...

Nie, nie... Nie jestem za żadnym skansenem. Ale kiedy przyjechałem tu w 89 roku, miałem takie spotkanie w „Res Publice” i mówiłem: na miłość Boską nie dopuście wszystkiego, tego całego śmiecia, które zaraz będzie się na was zwał z Zachodu, to powiedzieli: Miłoz chce skansen założyć. A mnie chodziło o coś innego. Mnie chodziło o to — może naiwnie wyobrażałem sobie — że po przejściu pewnych historycznych spazmów, historycznych doświadczeń w naszej części Europy, znaczy: Europy Środkowo-Wschodniej (Central Europe), powinniśmy być trochę mądrzejsi. I ustawić nasz filtr w ten sposób, żeby nie wszystko przechodziło. Oczywiście, gdybym miał władzę, na szczęście nie mam władzy, byłbym strasznym tyranem. Nawet boję się powiedzieć jakim. Ale tu chodziło o poczucie istnienia tej właśnie Central Europe. Nawiasem mówiąc, nie wiem, czy pani wie, że ja byłem jednym z pierwszych, którzy starali się w Ameryce wprowadzić pojęcie Central Europe. Tu zasługa przypada Czechowi, profesorowi Ladislavovi Matejce z Ann Arbor, który założył pismo „Cross Currents”, gdzie uwzględniał pisarzy czeskich, polskich, słowackich, chorwackich,

słoweńskich i tak dalej. Także bałtyckich. Cały ten obszar od Tallina do Dubrownika. I ja tam napisałem taki artykuł o Centralnej Europie. Trochę wcześniej niż Kundera. Potem Kundera ze względu na swoje nazwisko szerzej rozpowszechniał tę ideę Centralnej Europy. To miało cel strategiczny. Ponieważ chodziło o wprowadzenie w umysły intelektualistów amerykańskich świadomości, że istnieje Centralna Europa. Między Niemcami i Rosją. Mój przyjaciel Josif Brodski powiedział wtedy: „Jaka Centralna Europa? Zachodnia Azja!”

Wróćmy do tego filtru. Ta metafora wydaje się bowiem przejrzysta i celna. Jak ten filtr działa, czy — jak powinien działać? Czy jest samoczynny, czy ktoś musi go nastawiać?

Mój dezyderat wtedy był naiwny. Ustawienie filtrów jest prawie niemożliwe. Jesteśmy i będziemy zalewani.

Może trzeba przez to przejść jak przez chorobę? A potem wszystko się unormuje?

Może. To jest jedyna nadzieja. Tak... Tu jest wielka odpowiedzialność nas wszystkich parających się literaturą polską. Czy sztuką. My powinniśmy sami ustawiać te filtry. Albo nie ustawiać, ale polemizować.

A co dalej robimy z Rymkiewiczem? Dajemy się przekonać?

Rzecz polega na tym, że my nie mamy zaufania, jeżeli ktoś wznosi kaplicę tego rodzaju. Stawia Monsalvat. Poza tym, wydaje mi się, że on powinien jakoś lepiej wytłumaczyć, o co jemu chodzi. Bo często to, co on mówi *ce sont les boutades*. Przepraszam, że wprowadzam francuskie słowo...

Nie szkodzi, makaronizmy też należą do naszej tradycji narodowej.

Niestety. Ale jakże by to można przetłumaczyć: „boutades”? Jako żarciki? Świadome prowokacje? Czytając jego bardzo często ma się to wrażenie. Równocześnie muszę powiedzieć, że nie bardzo rozumiem jego napaści na *Zdania i uwagi Mickiewicza*. Znalazłem pokrewieństwo stylistyczne pomiędzy *Zdaniami i uwagami* a polskim barokiem. Z takimi krótkimi wierszykami bodaj Wespazjana Kochowskiego o Matce Boskiej, a więc epoką Anioła Słazaka. To bardzo podobne stylistycznie. Mnie się te *Zdania i uwagi* bardzo podobają. Także w swoim ataku na rozum. Dlatego, że one bardzo trafnie ujmują — czy to piórem Mickiewicza, czy Anioła Słazaka czy Boehmego — pewnego rodzaju horror wobec zjawisk rzeczywistości odbywających się w historii intelektualnej Europy wieku XVII i XVIII. Rzeczywiście wzrost racjonalizmu aż do dzisiejszej nauki, która przeważnie jest identyczna z postawą ateistyczną. Więc o co tutaj robić piekło? Mickiewicz rzeczywistość to definiował. Tym niemniej jak powiedziałem wcześniej: jeżeli pisałem w *Ziemi Ulro* historię tego załamania się religijnego światopoglądu tradycyjnego, to nie znaczy, że jestem przeciwko nauce. Ale jak przy pomocy nauki i techniki oczyszczamy wodę, tak że można się w mieście na przykład w Sztokholmie, kąpać a nawet łowić pstrągi, tak samo tylko przy pomocy nauki, wierzę w to, wkroczyliśmy w nowy wymiar teologiczny.

Czyli nie ma powodu, by aż tak lękać się rozumu i tak kurczowo trzymać jednego krajobrazu?

Mój Boże! Mieszkałem tak długo na Zachodzie, jednakże jakoś się ostałem. Kwestia ostania się... Jak się ostać... Lechoń mógł tylko wrócić do Mickiewicza, do Wyspiańskiego, do rdzennej polskości właśnie. I to było zgubne. I właściwie nawet z tego punktu widzenia jego samobójstwo było bardzo logiczne. Nie starałem się pisać nowego Pana Tadeusza. Owszem, pisałem o Litwie i starałem się, że tak powiem, wnieść to na forum anglijszczyzny, ale to nie było ucieczką od świata XX wieku. I bardzo to sobie chwalebne, że moja poezja nie jest ucieczką, tylko stara się konfrontować ze światem, stawiać czoło.

Może to właśnie byłaby kontrproponycja w stosunku do tej, jaką daje Rymkiewicz?

Mnie się wydaje, że to, co reprezentuje Rymkiewicz na pewno ma swoje analogie na Węgrzech, w Czechach czy w Rosji. Bardzo jestem tego ciekaw i chciałbym to porównać. Pierwsze słowo, które się narzuca: reakcja. Ale chcę jemu dać kredyt i traktować go o wiele poważniej niż ma się to ochotę robić w pierwszym odruchu. Z mniejszą irytacją i mniejszym lękiem niż to robią inni.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Marta Wyka Tekst, autor, postać

Galeria Dekady

Nie jest oczywiście tajemnicą, że teksty się starzeją. Podobnie autorzy — myślę nie o danym im fizycznie czasie, lecz o życiu autora w historii literatury, będącym przecież osobliwym „życiem po życiu”. Starzejące się teksty można wszak odmłodzić, byle nie nazbyt brutalnie, pamiętając o tym, iż nie wolno ich sprowadzać do poziomu dzisiejszych tekstowych młodzieniaszków, bo zatracimy wszelką miarę prawdopodobieństwa. Spór o powrót autora toczy się już od jakiegoś czasu wśród teoretyków literatury. Postać — zapewne swoista mutacja „autora” oznacza nasycenie obiektywnego w zasadzie tworu cechami wywiedzionymi wprost z niepowtarzalnej osobowości tego a nie innego pisarza. Oczywiście teksty dobrze funkcjonują bez autorów, autorzy zaś bez swoich „postaciowych” sobowtów. Zmieniają się jednak okoliczności zewnętrzne, szczególnie — choć może na pierwszy rzut oka wygląda to paradoksalnie — jeśli idzie o wymagania odbiorcze stawiane tekstom w literaturze zadomowionym czyli jej klasykom; podobnie z autorami — rośnie zapotrzebowanie na konkretną, jasną wiedzę o „postaci autora”. Wszystko to razem szczególnie dotyka szkoły, a może szerzej: wszystkich parających się uczeniem literatury oraz tych, którzy są podmiotami nauczania. Słowem — oczekuje się formuł nie tylko nowych, ale również zróżnicowanych, gdzie wiedza na temat osoby autora dałaby się połączyć z wiedzą o tekście przezeń stworzonym. Omijam tutaj pewne oczywistości nastawień wyłącznie tekstualnych, które wciąż są — i będą — domeną polonistyki wysoko wyspecjalizowanej. Zmierzam bowiem do konkretnej książki: *Sporne postaci polskiej literatury współczesnej* *) to praca zbiorowa wydana w Instytucie Badań Literackich, plon sesji na taki sam temat przez tenże Instytut zorganizowanej w roku 1993 (poleca tę pozycję MEN dla uczniów wyższych klas licealnych).

Książki wielu autorów budzą zawsze pewne recenzenckie zakłopotanie, nie chciałabym zatem oceniać poszczególnych tekstów. Spróbuję odpowiedzieć na inne pytanie: jakie spory książka ta relacjonuje, na ile jest w nich sprawiedliwym arbitrem, gdzie przełamuje bariery interpretacji konwencjonalnych, odkrywając zasłonięte dotąd oczywistości. Zapewne nie da się odpowiedzieć na to pytanie wyczerpująco, tym niemniej jest to bodaj pierwsza, znana mi — udatna — próba poniekąd takiego stylu interpretacji literatury współczesnej, gdzie moralizujące oceny przebijają zdrowy rozsądek, zaś przyjemność wyrokowania przesłania umiejętność czytania. Jednocześnie zaś — z punktu widzenia metodologii — autorzy wybierają opcję dopuszczającą do głosu argumenty personalistyczne w ocenie dzieła. Taka bowiem wydaje się potrzeba chwili i jeżeli umie się dobrze wyważyć argumenty obu stron — pisarza i tekstu — rezultaty mogą okazać się pobudzające poznawczo.

Najwięksi naszej współczesnej literatury — czyli, w tym wyborze, Broniewski, Borowski, Różewicz, Wat, Przyboś, Miłosz, Iwaszkiewicz, Andrzejewski, Białoszewski — stawali się częstokroć więźniami unieruchomionymi w konwencjonalnych interpretacjach. Aby powiedzieć o nich coś, co nie brzmiałoby jak Pimkowska lekcja, trzeba podjąć ryzyko postawienia im takich pytań, na które jeszcze dotąd nie odpowiadali. Kim zatem mogą oni jeszcze stać się dzisiaj?

Legenda najtrwalsza — choć czarna — to Borowski. Występuje on tym razem nie w roli zawiedzionego kochanka historii (jak Beta w „Zniewolonym umyśle” Miłosza), nie jako pisarz dwuznaczny moralnie i za to potępiany, wreszcie nie jako kodyfikator prawd ogólnych (o działaniu mechanizmów terroru). Borowski jest w pierwszym rzędzie wybitnym artystą pióra, wizjonerem, który do swoich wizji potrafił przykuć czytelników różnych generacji na wiele dziesiątków lat. „Pamięć ludzka przechowuje tylko obrazy” — to spostrzeżenie samego Borowskiego zostaje uznane jednocześnie za główny klucz do jego twórczości. Doprowadzi to do konkluzji, nad którą warto się zastanowić: *Wielkość opowiadań Borowskiego nie wynika z wielkości jego zwątpień, wynika z kilku oświecimskich opisów (...)* *Tę wielkość można docenić nie wikłając pisarza w nierozwiązywalne spory na temat moralności i nie przypisując mu kontrowersyjnych diagnoz historyczofizycznych (...)* Ostateczny sposób na Borowskiego byłby więc taki: *wykłanie z kontekstów śródwiskowych czy pokoleniowych i włączenie w kontekst tej wspólnoty, do której wpisał się swoimi opowiadaniem, wspólnoty udręczonych ofiar...*

W tym więc przypadku biografia Borowskiego o tyle tłumaczy jego dzieło, o ile będziemy widzieć ją jako realizację psychicznej sytuacji skrajnej, każdej takiej sytuacji, niekoniecznie i nie wyłącznie oświecimskiej. Borowski-artysta góruje w pewnym sensie nad Borowskim, uczestnikiem generacji przyszczytanych. Jego tragedia polega nie na zmaganiu z władzą, lecz z samym sobą.

Innym, wiele starszym od Borowskiego, pisarzem cierpienia, był Aleksander Wat. Świadczenia cierpienia, jakie wyszły spod jego pióra, są, jeśli tak wolno powiedzieć, wymownie uroz-

maicone. Od osobistej choroby po uczestnictwo w cierpieniu zbiorowym, czyli łagrowym. Ale Wat nie był świadkiem beznamiętnym (co czasem zarzucano Borowskiemu). To świadek obsesyjny, opętany, i tutaj rysuje się charakterystyczne nachylenie jego osobowości: owa szczególna skłonność do uwydatniania takich wariantów własnej biografii, które zapewniłoby jej mitologizację. Słowem Wat — co nie umniejsza wartości jego świadectwa — w bardzo charakterystyczny sposób *odgrywał* i dramatyzował swój los i swoje pisarskie przeznaczenie. Jeden przykład. Pisarz niezbyt płodny, który wciąż mówi o dręczącym go wewnętrznym nakazie pisania. Ale przecież największe jego dzieło — *Mój wiek* — to nagrane rozmowy, do których zmusił go Miłosz — potem, po śmierci Wata, spisane przez żonę, zredagowane przez wydawców. Inne jego książki noszą wyraziste ślady niedokończenia, pozostają w fazie pomysłów, projektów, niejasnych czasem zapisków.

Dlaczego jednak te właśnie cechy Wata — rozłam pomiędzy zamiarem i realizacją — wydobywa się i uwyrażnia? Otóż, jeśli dobrze odtwarzam myśl szkicu, chodzi o to, aby pokazać szczególne, a ważne, skonwencjonalizowanie dzieła Wata. W pisarstwie tym, obok jego aspektu „świadczącego”, biegnie nurt drugi, równie istotny: opowieści o sobie; opowieść ta, utrzymana w określonej konwencji, powoduje, iż patrzymy na Aleksandra Wata nie tylko jak na więźnia totalizmów. To ona bowiem pozwala mu pozostać artystą, snującym w każdych okolicznościach wątek *narracji*, prawdziwej lub wymyślonej, o przypadkach własnego losu.

Chciałabym zatrzymać się przy trzech jeszcze nazwiskach: Miłosza, Przybosia, Iwaszkiewicza. Dwa pierwsze potraktowane zostały komplementarnie. Tekst o nich traktujący uważam za jeden z najważniejszych w książce. O cóż bowiem chodzi? Krótko mówiąc: o wzory poetyk, związanych z tymi właśnie nazwiskami, ale również o wzory postaw. Recepcyjne koleje twórczości Miłosza i Przybosia przedstawiają obraz ciemny i sprzeczny. Losy tej recepcji zdają się odpowiadać meandrom biograficznym wielu XX-wiecznych pisarzy. Miłosz i Przyboś startowali ze wspólnego punktu: uznać za taki punkt wypada przekształcenia poetyki symbolizmu. I zgoda na taką propozycję. Podobnie na inne, pozornie zaskakujące, a mianowicie: na porównanie *Ziemi Ulro* Miłosza i *Zapisków bez daty* Przybosia, na stwierdzenie, iż obaj poeci spotykają się w peiperowskim kręgu; chodziłoby mianowicie o wstydlivość uczuć, przez Peipera postulowaną, a przez nich skrupulatnie przestrzeganą i realizowaną w wierszach. Zatem pojedynek między Miłoszem i Przybosiem, jako prawodawcami współczesnej poezji, winien zostać zawieszony. Reprezentują oni dwa odmienne, lecz równie ważne skrzydła tradycji. Przyboś jest francuski, wyznaje awangardową utopię, racjonalizm i jedną tylko formę; Miłosz ciąży ku tradycji anglosaskiej, jest wyznawcą „formy pojemnej” i wielości języków. Wyznaczają obaj dwie równorzędne drogi dla potencjalnych kontynuatorów: droga Przybosia zaczyna się tam, gdzie kończy się modernizm, droga Miłosza zapuszcza się w modernistyczne ostępy, aby poeta mógł powiedzieć: „tam nasz początek...” Galicyjski, cesarsko-królewski, mieszczański...

W kręgu stereotypów znalazło się również czytanie i oceny Iwaszkiewicza. Iwaszkiewicz stał się więźniem stereotypów i podporządkowuje się jego wybitne pisarstwo paru ogólnikom i paru cenzurkom. Ale wciąż jeszcze można zaproponować inną opcję: Iwaszkiewicz jako nie tyle więzień historii, ile twórca doskonale indyferentny wobec jej pokus, zagrożeń i zobowiązań. I sądzę, że należy się poważnie nad takim rozwiązaniem zastanowić. Bo chyba Iwaszkiewicz — od *Oktostychów* począwszy, a na *Muzyce wieczorem* kończąc był przede wszystkim artystą — w modernistycznym właściwie sensie. To broniąc swojego artysty siedzi na ustępstwach wobec historycznych wymagań (politycznych także). Dobrze to czy źle? Artyzm został uratowany — na pewno.

Oczywiście „spornych postaci polskiej literatury współczesnej” jest więcej. Również w książce, o której piszę. Zauważył nietrudno, iż nie wymieniałam tutaj nazwisk autorów poszczególnych szkiców. Uczyniłam tak z rozmysłem. Chodziło mi bowiem o to, aby na paru wybranych przykładach unaocznic pewne nowe możliwe trakty czytania współczesnej literatury. Wydaje się, iż wiele interpretacji, z którymi mamy obecnie do czynienia, utknęło w martwym punkcie. Następują kolejne akty powielania ocen, powtarzają się podobne zarzuty i podobne pochwały. Ale przecież literatura jest totalnym tekstem otwartym — wystarczy tylko uruchomić świeżą wrażliwość, odrzucić interpretacyjne uorządzenia, postawić nowe problemy. IBLowska publikacja zasługuje w tym względzie na szczególnie gorące polecenie.

*) *Sporne postaci polskiej literatury współczesnej*, pod redakcją Aliny Brodzkiej, Wydawnictwo IBL, W-wa 1994, s. 204



Renato Alpeiani, *Confuso*, 1994, wymiary zmienne, tkanina. (Artysta jest członkiem grupy ARTE DEBOLE z Turynu.)
Fot. Tomaso Mattina.



Tygryszard Drapież, Kot Mężny do Końca

Tygryszard Drapież był to kot niezwykle niebezpieczny;
Grasować zwykł, perfidny typ, na starej barce rzecznej.
„Postrach Tamizy” — czyliż mógł właściwszy mieć przydomek
Ktoś, kto tak drwił z przykazań, praw i innych Alf i Omeg?

Któż sportretować by go śmiał? Nikt, nawet Łukasz Cranach:
Futro wymięte, z mnóstwem dziur, wypchane na kolanach,
Jednego ucha było brak (przemilczmy ten epizod),
Oko paliło wzrokiem świat, życząc mu klęsk i zgryzot.

Gdziekolwiek nurt Tamizy w dal płynął przez Albion mglisty,
Lud, słysząc „Drapież”, nagle bladł, jak po połknięciu glisty,
Wokół kurników system fos rył i umacniał mury,
Roznosząc wieść: „Tygryszard znów grasuje, zbir ponury!”

Biada, kanarku, jeśliś dziób wytknął za klatki progi,
Biada, tchórzliwy pseudo-psie, ratlerku cienkonogi!
Biada tym szczurom, co na ład z zamorskich statków pełzły,
I kotom, które widząc, zbój w zębach stek przekleństw mełł zły!

Szczególnie kotom obcych ras ślubował uroczyście,
Że zawsze starczy dla nich miejsc na jego czarnej liście;
Zwłaszcza zaś sjamskie gnębił lęk, że będzie z nimi krucho,
Bo właśnie sjamski niegdyś kot wspomniane odgryzł ucho!

Nastała jednak letnia noc, gdy świat w zachwycie zastygł:
Nie odmalowałby tych barw żaden artysta plastyk!
Księżyc lśnił, rytm przybrzeżnych fal miłośnie burtą brzeg tartł
I czuł Tygryszard: serca zew sączy mu w słuch swój nektar.

Sternik Mruczymór, wierny druh, znikł w barze (tym na rogu),
By aż do rana, jak to on, wąsiki maczać w grogu.
Bosman Pazurek również znikł — w zaułków mrok się zapadł:
Ze wszystkich rekreacji form najbardziej lubił napad.

Tygryszard na pokładzie siadł z ponętą swą wybranką,
Niejaką Manuelą Wąs, *ve!* Mańką Lamparcianką;
Z reszty załogi każdy spał w oparach sennych mrzonek,
Tymczasem — wokół gęstniał rój bezgłośnych sjamskich dżonek!

Tygryszard cały wzrok i słuch skupiał na swojej damie:
Mańka, wsłuchana w jego bas, o męskie wsparta ramie,
Nie przeczuwała, że ją coś niemile wnet zaskoczy —
A w krąg iskrzyły się od gwiazd błękitne sjamskie oczy!

I coraz ciasniej dżonek krąg zwierzał się wokół pary,
Choć w dalszym ciągu żaden kot nie puszczał z mordki pary —
Duet kochanków trwał i wciąż serc dwojga wspólny hymn drżał,
Gdy wokół orientalny wróg zaciskał w łapce kindżał!

Nareszcie kot imieniem Chan dał znak mongolskiej hordzie —
I ruszył do ataku tłum rozlubowany w mordzie!
Znienacka — samurajski wrzask i chińskie fajerwerki!
Z majtków zbudzonych mało kto wdziac zdążył hajdawerki.

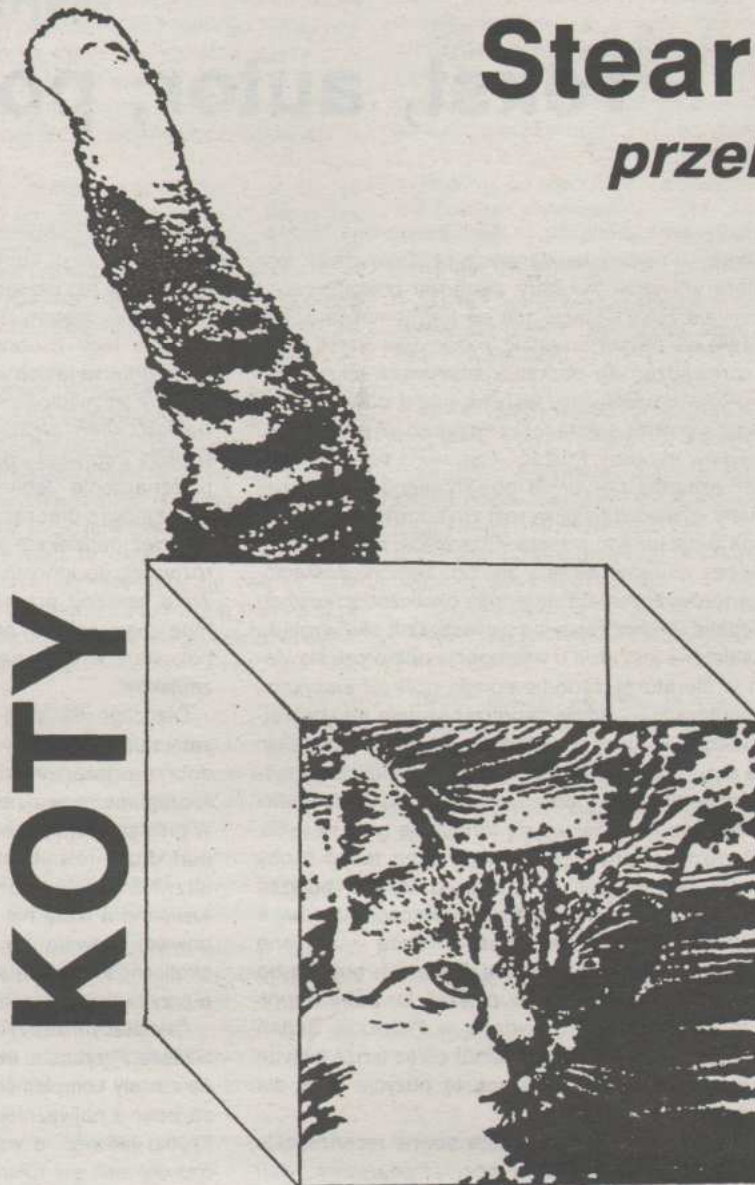
Mańka wydała głośny pisk; do rzezi nie przywykła,
Niestety — trzeba nazwać rzecz bez eufemizmów — znikła;
Ktoś taki zawsze niczym kot na cztery łapy spadnie!
Tymczasem nad jej lubym wróg znęcał się dość szkaradnie.

Chociaż waleczny był zeń kot, choć wielki dał mu Bóg spryt,
Nożami błyskający tłum zapędził go na bukszpryt:
Nie było stąd odwrotu, nie! Przebity dzidy grotem,
Z geniusza zbrodni stał się w mig zwyczajnym zdechłym kotem.

Euforia ogarnęła kraj, kiedy się wieść rozniosła:
Tańce na plażach, wielki zjazd Izb Handlu i Rzemiosła,
Śpiewy, wyścigi w workach — tak, kraj był w radosnym szoku;
A jednym z narodowych świąt stał się ten dzień w Bangkoku.

Thomas Stearns

przekład

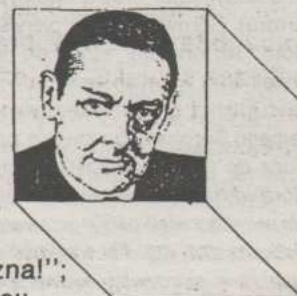


Kot Naprzekórek

Życie z kotem Naprzekórkem nie jest łatwe,
Gdyż wprowadza on w to życie ciągły zamęt:
Dać mu kawior — on by wolał kuropatkę,
Dom mu kupić — on by wolał apartament.
Mysz podsunąć do gonienia — chciałby szczura,
Szczura wskazać — preferuje znowu mysz;
Nic nie wskórasz u kocura Naprzekóra,
Taka bowiem tego gburą jest natura:
On i tak swego dopnie,
A ty tylko okropnie
Denerwujesz się, wściekasz i żłisz!

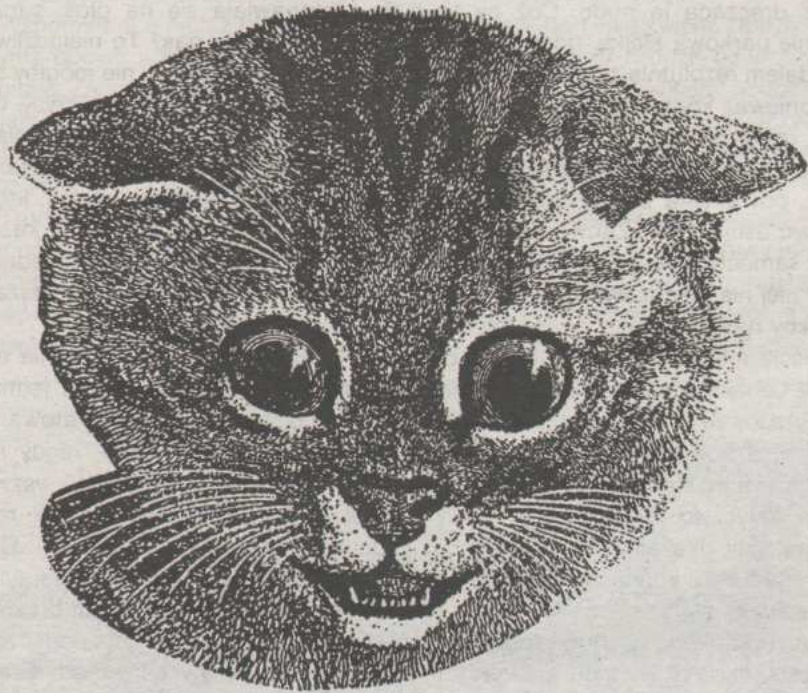
Życie z kotem Naprzekórkem to udręka,
Gdyż co chwilę stwarza on problemów szereg:
Wyjść z nim na dwór — ze znużenia głucho stęka,
Wrócić — robi minę „Chodźmy na spacerki!”
Dać mu kłębek — „Ja chcę gonić koniec sznura!”
Dać kanarka w klatce — „Lepszy smak ma czyż!”
Nic nie wskórasz u kocura Naprzekóra,
Pasmem klęsk jest ta ponura awantura:
On i tak swego dopnie,
A ty tylko okropnie
Denerwujesz się, wściekasz i żłisz!

Żyć z kocurem Naprzekórem wręcz nie można,
Grozi albo rozstrój nerwów, albo chrypka;
Podać karpia — „Tak bym chciał bażanta z rożna!”
Bażant gotów — on, niewinnie: „A gdzie rybka?”
Może zmoże jakiś pomór tego typka?
Zali zwali z nóg choroba go obłożna?
Nie! Gdy nam się marzy mór i szybka stypka,
Jemu zdrowym każe być przekora zdrożna!
Na nic picie dla kurażu i sam kuraż,
Na nic pochlebstw grubo szytych wątła nić:
Choćby miał u swoich stóp królewski dwór aż,
Nie, z kocurem Naprzekórem nic nie wskórasz:
On i tak swego dopnie,
A ty będziesz okropnie
Denerwować się, wściekać i żlić!



Eliot

Stanisław Barańczak



Koterion Wtrząchał

Koterion Wtrząchał — gotów byłbym przysiąc — wśród kotów
Nie jest kotem najwęższym w obwodzie;
 „Jadać w barach — nie lubię!"; za to przy stole w klubie
 Czuje się jak gruba ryba w wodzie.
 Jest członkiem aż dziesięciu klubów; czasem na zdjęciu
 W „Timesie” widać, jak wkracza pogodnie
 Do jednego z lokali: czyście w życiu spotkali
 Kota, co *tak* skrojone ma spodnie?
 Nie ma takiego! Jakoż Koterion, jako smakosz,
 Dandys i kot w sztuce życia obla-
 Tany, słynie w Londynie; gdy *on* głową nam skinie —
 Honor większy niż Nagroda Nobla!

Któż mógł prócz Koteriona być przyjętym do grona
 (Wykluczają to regulaminy!)
 Członków tak „Oksfordczyka” (klub słynący z rumsztyka)
 Jak „Kambrydzanina” (leguminy!...)?
 Gdy trwa sezon myśliwski, zwykle w klubie „Dwa Liski”
 Nad dziczyzną zasiada Koterion,
 Albo je „U Gwiazd Sceny” (gdzie niestety ceny)
 Ich specjalność: homara z mizerią.
 Gdy zapragnie sandacza, klub „Sieć” przed nim roztacza
 Menu rybne, które aż zatyka;
 W klubie „Apetyt” wreszcie, oprócz kielbasek w cieście,
 Pieką też przepyszny indyka.
 Klub „Grobowiec”... cóż, prestiż, owszem, lecz faktem jest, iż
 Ich miętowy sos do baraniny
 To zgroza; więc już deser tylko w klubie „Koneser”
 (Melba, bita śmietana, praliny)
 I kieliszek koniaku, o niezrównanym smaku,
 W klubie „Lejek” — po czym, trawiąc żmudnie,
 Smakosz stwierdza: „Się wstanie, zje nieduże śniadanie,
 A tu proszę — minęło południe!”

W takim mniej więcej stylu Koterion od lat tyłu
 Spędza czas w klubach swoich dziewięciu;
 Nie będziemy pytali nawet, dlaczego w tali
 Nie ma śladu po młodzieńczym wcięciu.
 Waży z piętnaście kilo, jeżeli mnie nie mylą
 Kalkulacje; zresztą, wszystko jedno;
 On sam i tak nam powie, że wyborze ma zdrowie:
 „Regularny tryb życia — w tym sedno!”
 „Przeżyję wszystkich!”, doda. Co do jednego zgoda:
 Wiele jeszcze wiosen niezawodnie
 Obwieści Koteriona mina rozpromieniona
 I skrojone znakomicie spodnie!

Anna
Potoczek

Ostatnia wola

Niedziela, dzień pogrzebu mojej babki była chyba najgorętszym dniem całego lata. Już przed południem temperatura przekroczyła czterdzieści stopni, a kwadrans po trzeciej, gdy obaj z ojcem wyjeżdżaliśmy z domu dozorować przygotowania do ceremonii, wewnątrz samochodu przypominało rozżarzony piec. Pogoda była naprawdę trudna do zniesienia. Obicia foteli cuchnęły klejem i plastikiem, na tylnych siedzeniach wiewły świeże kwiaty wplecione w wieńce z jedliny, a duchota powietrza działała obezwładniająco. Co za pech, pomyślałem, wiedząc że życzeniem babki było, by tłumy ludzi podziwiała jej niezwykle konny pogrzeb. Temu właśnie miał służyć karawan-lando i konie, przynajmniej dwa, ciągnące jej trumnę wolno i uroczyście przez ulice miasta pełne ludzi zadziwionych tą paradą. Musiało jej na tym bardzo zależeć, skoro zrobiła specjalny zapis w testamencie, a przed śmiercią zobowiązała ojca, by możliwie dokładnie trzymał się realizacji jej własnych wskazówek. Ojciec przysiągł postąpić zgodnie z instrukcją, gryziony poczuciem winy za to co zrobił, a raczej czego nie robił przez ostatnich pięć, a może nawet sześć lat. Dotrzymał słowa, lecz coś z tego, skoro w dniu uroczystości żar po prostu kapał z nieba jak rozpalona smoła i jak okiem sięgnąć, na chodnikach ani na skwerach nie dostrzeżliśmy żywej duszy. Było całkiem oczywiste, że kto mógł, wyjechał z miasta już w piątek albo najpóźniej w sobotę rano, a kto nie mógł, chował się jak najgłębiej poza spuszczone żaluzje. Miasto zamarło, zieleń wędła, ponad wyludnionymi ulicami unosił się oślepiający blask i wszędzie czuć było zapach kurzu zmieszany z wonią uschniętej trawy, blach samochodowych i asfaltu.

Nie mieliśmy na to żadnego wpływu. Kontynentalny wyż napłynął nagle i zaskoczył wszystkich, za wyjątkiem prywatnych producentów wody sodowej. Nawet noce nie dawały ulgi i przez otwarte okna wpadały do wnętrza mieszkania leniwe prądy upału. Dnie były bezwietrzne a ciało pokrywało się potem przy każdej próbie szybkiego ruchu. Były to największe upały od wielu lat i babka naprawdę nie mogła liczyć na publiczną popularność swego pogrzebu, a ten ze zrozumiałych powodów powinien się być odbyć możliwie jak najszybciej.

Kiedy to piszę, ogarnia mnie obawa, że mogę zostać posądzony o wstrętą obojętność i młodzieńczy cynizm, więc od razu muszę wyjaśnić, że sprawy miały się zupełnie inaczej. Prawdę mówiąc chyba jeszcze nigdy nie czułem wobec babki tyle współczucia. Naprawdę współczułem jej, ponieważ ten okropny upał był kolejnym i ostatnim już dowodem potwierdzającym ulubioną tezę, że przeznaczenie nie jest jej życzliwe. Istotnie, była w tym jakaś cząstka prawdy. Przez większą część życia skutecznie wpływała na ludzi, zwłaszcza najbliższych, i doszła w tej dziedzinie do mistrzostwa, ale z losem radziła sobie zdecydowanie gorzej i przewidywalnie z góry fiasko ceremonii kazało mi wspomnieć jej stałe utyskiwania na brak tak zwanego „szczęścia”. Cokolwiek naprawdę znaczy to słowo, babka, odkąd pamiętam, uważała się za osobę zdecydowanie nieszczęśliwą.

Gdy spojrzeć na problem szczęścia z jej punktu widzenia, można zgodzić się, że miała powody do skarg — jej życie było bowiem z pozoru bardzo spokojne, zrównoważone i wyzbyte wydarzeń godnych zbiorowej pamięci pokolenia, co znaczyło, że babka sama nie znajdowała w nim nic godnego wzmianki. Była pod tym względem bardzo wymagająca, i nie podzielała wcale powszechnego poglądu, że szczęście bierze się z wydarzeń drobnych, które cicho nadchodzą i równie cicho mijają, nadając życiu urok, pomyślność i blask. Nie, babka zawsze była zdania, że liczą się wyłącznie sprawy o wadze publicznej, tych zaś w jej życiu brakowało, a przynajmniej ona sama zdawała się ich nie dostrzegać. Nie chcę prowadzić dyskusji o tym, czym właściwie mogły być te zasadnicze sprawy i wydarzenia, choć wiem na pewno, że nie należały do nich ani spokojne dzieciństwo i młodość, ani małżeństwo z urzędnikiem, który wcześniej umarł, ani nawet kariera syna, któremu nie potrafiła wybaczyć ani charakteru, stylu bycia i twórczości, ani nawet wyboru żony. Kochała go jednak zaborczo, co komplikowało jeszcze całą sytuację.

To wszystko bzdury, mówiła na przykład cierpko o muzyce ojca, którą poza jego plecami helpiła się do znudzenia, Cyganie bielący kotły przed wojną robili wokół siebie taki sam hałas jak teraz ty (oczywiście nie miała na myśli flamenco, a jej krytyka była tyleż fałszywa, co bezliźnie bezpośrednia). Nic mama nie rozumie, zaperzał się ojciec, daremnie spragniony, by wraz z nim zechciała wysłuchać którejś z jego kompozycji od początku do końca. Ja nie rozumiem? odpowiadała groźnie zawsze tym samym pytaniem a potem natychmiast strzelała ostrą amunicją argumentów nie do odparcia. Przecież to nie po kim innym, ale po mnie odziedziczyłeś swoje zdolności, wołała oburzona, i to ja uczylałam cię pierwszych nut i pierwszych gam. Kiedy byłeś jeszcze mały, wiązałam z tym wielkie nadzieje i marzyłam, żebyś nauczył się grać muzykę; Chopina albo Paderewskiego, a tymczasem ty wolisz kałeczyć ludziom uszy dzikim piskiem. Jeśli chcesz wiedzieć... (ojciec nie chciał, ale to nie miało dla niej żadnego znaczenia), czasem wstydzę się przed sąsiadkami kaset, na których nagrałeś te straszne hałasy. Dziwię się twojej żonie, że nie zwraca na to uwagi. Jestem już za stara na oceny, więc nie spotka cię z mojej strony żadna krytyka, ale powinieneś wiedzieć, że spodziewałam się po tobie czegoś całkiem innego. Całe moje życie powinno być inne, trafiłam na złe czasy, na nieodpowiednie środowisko i ludzi, czego nie można przecież powiedzieć o tobie, a jednak...

Tak było z nią zawsze. Wciąż narzekała. Narzekanie mojej babki przypominało swoją naturalnością rytm nocy i dnia. Nie pamiętam jej zadowolonej, ale dopiero teraz, gdy umarła, zrozumiałem, że żyła w poczuciu niespełnienia jak na pustyni, wciąż spragniona czegoś, co pozostawało dalekie i bez szans na realizację. Na tym polegał skryty dramat, którego za jej życia nikt nie pojmował. Trwała przez lata jakby w zawieszaniu, czekając na coś, co miało nadejść, aż do dnia gdy stwierdziła nagle, że jest już za późno. Choć na co za późno? Tego również nie dowiedział się nikt, ponieważ nikt nie śmiał jej zadać takiego pytania, lecz wkrótce stało się jasne, że dla babki najważniejszy w życiu pozostał już tylko pogrzeb. Stąd właśnie troska o jego niezwykłość, pompę i oprawę, troska, która ogarnie wszystko, co da się przewidzieć, z wyjątkiem pogody. Właśnie dlatego pocąc się w upale jak grzanka, z której uchodzi resztką wilgoci, współczułem jej z całego serca i starałem się rozumieć jak jeszcze nigdy dotąd. Biedna babka. Niestety, wszystko wskazywało na to, że nawet pogrzeb wypadnie banalnie.

— Cóż za straszny upał... Czy masz w kieszeni chusteczki higieniczne? Wytrzyj mi czoło, proszę, nic nie widzę, pot zalewa mi okulary... — poprosił ojciec nie patrząc na mnie, więc nic nie odpowiedziałem. Znalazłem chusteczkę i otarłem mu czoło, które było odkryte i wąskie, zupełnie odmienne od zasłoniętego loczkami (papiloty!) czoła jego matki. Zawsze słyszałem, że jest do niej podobny, ale nie dostrzegałem tego, wprost przeciwnie, znajdowałem w nim raczej podobieństwo do fotografii dawno zmarłego ojca.

Dziadek był postacią tajemniczą, a to co o nim słyszałem, miało w sobie wiele rażących sprzeczności. Mówiono mi o nim zawsze jako o wzorze cnót, ale podsłuchałem rozmowy sędziwych znajomych, którzy wspominali tego skromnego urzędnika administracji państwowej jako namiętnego pokerzystę a może i szulera. Nie wiem ile w tym było prawdy, ale spodobała mi się wersja podwójnego życia człowieka obdarzonego przez los żoną pokroju babki. Lubilem wyobrazić sobie, że zaniedbywał ją i zostawiał samą wymykając się wieczorami do kasyna, w upartej nadziei, że właśnie tej nocy rozbije bank. Być może robiła mu sceny, podejrzewała i śledziła, modląc się w tajemnicy o powodzenie hazardu. Lecz na próżno. O ile wiem, nigdy nie rozbił banku i wskutek tego babka nie zobaczyła Riwiery ani Paryża, nie miała brylantów i futra z szynszylki, nie brała udziału w wykwintnych polowaniach, nie chodziła na bale, nie kolekcjonowała obrazów ani cennej porcelany, nie przyjaźniła się z gwiazdami sceny, słowem nie robiła w życiu zupełnie nic, co w jej własnych oczach zasługiwałoby na uwagę. Na domiar złego dziadek zniemacka popadł w dług. To było najgorsze. Babka opowiadała mi wiele razy, że w dług wciągnął dziadka nieuczciwy przyjaciel, ale wersja karcianych porachunków wydaje się mimo wszystko bardziej prawdopodobna. Spłacił je, a wkrótce potem umarł, być może ze zgrzyoty, a babka nie omieszkała powiązać jego śmierci ze spiskiem masońskim, w jaki miał być rzekomo wmieszany cały Rotary Club. Twierdziła, że popełniono pomyłkę godną powieści detektywistycznych i pewnego dnia dziadek otrzymał list z żądaniem zwrotu ważnych dokumentów. Zlekceważył go, podobnie jak drugi i trzeci, jakie nadeszły w kopertach bez stempla pocztowego i adresu nadawcy, przyniesione przez chłopców ulicznych, którym ktoś nieznajomy wsunął za to do ręki drobne monety. Nie mam żadnych dokumentów, śmiało się podobno dziadek z akcentem szczerości, ale w dniu, w którym umarł nagle na atak serca, widziano w jego biurze kogoś obcego, kto chciał odbyć z nim bez świadków pilną rozmowę. Nie zdarzyło się nic więcej, nic prócz zasłabnięcia późną nocą, gdy trudno było zerwać z łóżka znajomego lekarza. W takich chwilach, mówiła potem babka, każda czynność rozciąga się w czasie i staje zbyt długa: przebudzenie ze snu, nalewanie wody do kubka, szukanie pigułki. Dziadek był przytomny i podobno starał się nawet żartować z bólu za mostkiem, a przecież nad ranem już nie żył, umarł z żartem na ustach nie wyjawiając nikomu szczegółów sekretu. O ile oczywiście był tam jakiś sekret, spierał się ojciec, który kochał swego ojca i przez wzgląd na niego stanowczo zaprzeczał wszelkim sensacjom. Babka irytowała się, gdy mówił, że to wszystko bzdury. Nie możesz pamiętać, wołała w złości, nic nie wiesz, chroniłam cię przed tym...

Ale jej złość nie pomagała i wersja ojca różniła się prawie we wszystkim od wersji babki. Listy z pogrozkami były według niego, i owszem, zawiadomieniem o sprzedaży weksli, ale wizyty tajemniczych nieznajomych pochodziły wprost z modnej wówczas lektury sir Arthura Conan-Doyle. Ojciec nie negował wprawdzie skłonności dziadka do kart, lecz cała reszta była, jego zdaniem, tworem fantastycznym. Babka jednak obstawała przy swoim i ojciec był wobec tego zupełnie bezradny. Nie twierzę, że mama kłamie, tłumaczył, gdy jej opowieść wzbogacała się ni stąd ni zowąd o jakiś nowy szczegół, myślę tylko, że wewnętrzna potrzeba sensacji posuwa się tym razem stanowczo zbyt daleko...

Do dziś nie wiem, kto z nich miał rację, może ojciec, jak zwykle, a może jednak babka, dla której śmierć męża była jak przecięcie życia na pół. Jeśli zmyślała, potrzebowała fantazji, by przetrwać, skoro dalszy ciąg życia niemal dla niej nie istniał. Bo choć przeżyła wojnę nie odnosząc większych strat, monotonne lata powojenne nie zasługiwały w jej odczuciu na pamięć i uwagę. Udało się jej wiele, była zdrowa, ominęła pułapkę pracy w fabryce, nie przydzielono jej lokatorów, nigdy nie zwróciła na siebie uwagi władz. Lecz lata mijały, a ona płynęła w nich żyjąc samym tylko płynięciem i przemijaniem, pozbawiona konkretnego zajęcia, utrzymywana przez syna, marząca o przeszłości, spełniona tylko w niespełnieniu. Nawet syn, który chętnie uczył się nut, poszedł, przy pierwszej okazji, swoją własną drogą. Nie próbowała nawet tego zrozumieć. Najpierw stanowczo odmówił grania Chopina, potem zaczął pisać zgrzyty i hałasy, a wreszcie ożenił się nie pytając jej o zdanie i z tego związku urodził się ja. Podobno dość długo zastanawiała się, jak przyjąć moje pojawienie się na świecie, ale wreszcie postanowiła skapitulować i pokochała mnie po swojemu. Choć nie była to miłość, jaką bez trudu dałoby się odwzajemnić.

Dlatego gdy ojciec szepnął w zamyśleniu „biedna, biedna mama...”, nie odezwałem się ani słowem, choć mógłbym powiedzieć wiele. A może nie, może tylko zdawało mi się, że mam o mojej babce wiele do powiedzenia. Może zawsze tak jest, że w chwilach ostatecznych zdaje nam się, że rozumiemy więcej niż rozumieliśmy kiedykolwiek, choć nie wiadomo dokładnie, na czym polega to rozumienie i czego dotyczy. Tak właśnie było ze mną. Bo choć z pewnością tolerowała moją osobę lepiej niż kogokolwiek innego z całej rodziny i właśnie mnie zapisała dom, który podczas jej choroby rozpadł się i zawalił, nie umiałem, a może nie chciałem określać, co właściwie o niej myślę. Prawdę mówiąc przez chwilę starałem się wcale nie myśleć i wobec tego skupiłem się na upale, na wieńcach z wędnących kwiatów, na przeraźliwie rozprężonej chwili, gdy ojciec zapalał samochód i ruszyliśmy wprost przed siebie, w stronę stadniny, która zgodziła się wypożyczyć dwa stare konie do ciągnięcia odkrytego landa z dębową trumną.

Tak właśnie życzyła sobie jechać na cmentarz, tak i nie inaczej, landem ciągniętym przez białe konie. Niestety nie było nigdzie białych koni. Ścisłej mówiąc żaden zakład pogrzebowy nie dysponował ani jednym koniem i tylko prośby ojca sprawiły, że jakiś życzliwy przedsiębiorca zgodził się wypożyczyć muzealny pojazd. W sumie była to jednak bardzo trudna sprawa i mieliśmy z nią, ojciec i ja, wiele kłopotu.

Gdy jednak powtórzył po raz kolejny: „biedna mama...” rozumiałem, że zapomniał już całkiem o kłopotach, a zwłaszcza o rozmowach z facetami ze stadniny, którzy długo nie potrafili zrozumieć, dlaczego zamierzamy spełnić co do joty ostatni kaprys władczą staruszkę. Zwłaszcza że ojciec w chwili słabości rozkleił się przed nimi i opowiedział, że babka przez całe życie panicznie bała się koni, więc ci koniarze byli bardzo zdziwieni i namawiali, żeby dać sobie spokój z końmi, zwłaszcza że te ze stadniny nie były przyzwyczajone do chodzenia w zaprzęgu. Ale ojciec uparł się i w końcu dopiął swego, a raczej, jakby powiedziała mama, to babka dopięła swego, posługując się ojcem po śmierci skuteczniej, niż się to jej udawało za życia. Konie zostały więc zarezerwowane, a ja musiałem po cichu wyjaśniać, że babka istotnie miała na punkcie koni prawdziwą fobię, ponieważ gdy jeszcze była małą dziewczynką, jakaś wróżka przepowiedziała mojej prababce, że jej córka zostanie stratowana przez

spłoszonego wierzchowca. Babka przez całe życie uparcie powracała do tej przepowiedni, najpierw z panicznym lękiem, a potem z odrobiną rozczarowania. Owszem, nigdy nie przestała unikać koni, ale ich lekceważąca obojętność irytowała ją i skrycie drażniła.

W jej zachowaniu kryła się zawsze podwójna logika. Pamiętam, że gdy byłem jeszcze chłopcem, zawsze wołała z przestrachem: „O koń...”, ciągnąc mnie do najbliższej bramy, gdy pełna turystów dorożka wlokła się osowiale po nierównej jezdni. Ale równocześnie wyczuwałem w niej żal, gdy wszystko powtarzało się po raz setny, dorożki toczyły się przed siebie z niezmaconym spokojem, a cała konna populacja naszego miasta nie zwracała na babkę najmniejszej uwagi. Jestem pewien, że budziło to w niej gorycz, a znużony spokój starych szkap stanowił dla niej powód ukrytej frustracji. Kryła ją zresztą w sobie bardzo starannie, a przecież przysięgałbym, że wyczekuje na jakiegoś dorodnego wierzchowca, który wtargnąłby w jej życie, rozbijając dręczącą ją nudę. Cóż by to było, zastanawiała się na głos, sunąc bezpiecznie parkową alejką, gdyby koń poniósł i rzucił się na nas? To niemożliwe, odpowiadałem rezolutnie, używając wiadomości wyniesionych z zoo, nie mógłby się rzucić, ponieważ konie nie rzucają się na ludzi, robią to raczej lwy albo tygrysy. Co w takim razie robią rozjuszone konie? pytała babka retorycznie, natychmiast udzielając sobie samej prawidłowego wyjaśnienia — konie traktują i miażdżą kopytami. Miażdżą... powtarzała w skupieniu, a wtedy jej usta wyginał grymas wstrętu, który mógłby być uśmiechem. Zauważałem bystro, że jeśli chodzi o miażdżenie, to każdy pospolity samochód jest o wiele bardziej skuteczny od konia. Ten argument jednak wcale do niej nie przemawiał. Nic nie rozumiesz, mówiła zagadkowo i przyspieszała kroku, jakby nas gonił jakiś daleki tętent.

Oczywiście miałem rację mówiąc jej o samochodach, ponieważ to właśnie era pojazdów benzynowych nie sprzyjała się spełnieniu przepowiedni. Trzeba jednak przyznać, że los ze swej strony nie zrobił nic, by dopomóc babce w byciu stratowaną. Lata mijały, a koni było na ulicach coraz mniej. Babka, rzecz jasna, nigdy nie przestąpiła bramy stadniny, ale za to przejawiała drobiazgową ciekawość wszystkiego, co dotyczyło mojej własnej jazdy konnej. Ona też była najbardziej rozczarowana, gdy okazałem się pod tym względem kompletnym beztalenciem. Gdy wreszcie spadłem z konia podczas galopu i zostałem odwieziony do szpitala, tylko babka żałowała, że już nie będę jeździł na koniach, rozpaczła nad moim brakiem zręczności i ogólnie złą sportową formą. Właśnie wtedy na dobre nabrałem podejrzeń, że zazdrości mi po cichu tego doświadczenia. Byłem zdziwiony własnym odkryciem i opowiedziałem o nim koleździe studiującemu psychologię. Odparł, że to się zdarza i że babka ma osobowość obsesyjną, u podstaw której leży kompleks Edypa i nieświadoma zazdrość o penis. Zabrzmiało to bardzo naukowo, ale miało trochę sensu, zwłaszcza w konfrontacji z pogłoskami o dziadku i jego sekretach. Zazdrość o penis, rozważałem, przyglądając się jej podejrzliwie. Kto wie, może ta kobieta, która nawet w starości odlewała potajemnie mojej matce francuskie perfumy do szklanych fiolek po wanilii, chciała w głębi duszy stać się mężczyzną i przy zielonym stoliku rozegrać z Losem decydujący mecz? Może namiętnie, choć w tajemnicy, pragnęła jeździć konno, czując pomiędzy udami drgające ciepło zwierzęcia, rozkazywać innym ludziom, mieć nad nimi władzę, jaką miał Edyp jako król i podlegać tylko tej władzy, jakiej Edyp podlegał jako syn i jako kochanek?

Było to bardzo dziwne i później nie zwierzałem się już nikomu z tej hipotezy, ale gdy babka zażyczyła sobie przed śmiercią konnego pogrzebu, przyszło mi do głowy, że w ten sposób daje Opatrzności ostatnią z możliwych szans. W tym znaczeniu jej decyzja była ciągiem dalszym buntu przeciwko miłośności losu, przeciwko temu, co sama musiała myśleć o sobie, Kopciuszku, co nigdy nie doświadczył przemiany, o brzydkim kaczątku, które okazało się jednak kaczką, a nie labędziem.

Lecz życie minęło i ostatnie lata były dla niej podsumowaniem. To zaś musiało być trudne, skoro całymi dniami, tygodniami i miesiącami leżała prawie nieruchomo, z rękami złożonymi na szpitalnej pościeli. Wstawała tylko w nocy, gdy sądziła że wszyscy śpią i krążyła wtedy po szpitalu jakby szukając czegoś dawno zgubionego. Podczas dnia spała albo wzywała lekarzy na nie kończące się konsultacje. Poza nimi nie rozmawiała z nikim i nie zwracała uwagi na to, co działo się wokół. Nawet do rodziny odzywała się rzadko i były to wciąż słowa niezgody z tym, co w jej życiu dokonało się już bezpowrotnie. Nie było na to rady ani lekarstwa, bo nic nie mogło dać jej ukojenia. Ignorowała nawet wiadomości o stanie jej domu, kotów i kaktusów, jakie w pierwszych miesiącach przynosiłem do szpitala bardzo regularnie. Potem dałem z tym spokój, bo nic jej już nie interesowało. Nic poza tymi nocnymi wędrówkami po szpitalnych korytarzach, salach i schodach, których przyczyny i celu nigdy nikomu nie chciała wytłumaczyć. Podobno jej zmalałe i kurczące się ciało odzyskiwało wtedy siłę i żywotną giętkość; mknęła naprzód przez korytarze nie zważając na ostrzeżenia i zakazy, gimnastykowała się, tańczyła sama ze sobą, podśpiewywała półgłosem stare piosenki, a potem z nieomylną orientacją biegła z powrotem, wracała na łóżko i rano wydawała się tak bliska śmierci, że karmiono ją jak dziecko, podawano basen, czesano i myto. „Była taka zagubiona...” powiedział ojciec szeptem, patrząc na pas bezpieczeństwa, odciskający plamę potu na czarnym, specjalnie na tę okazję kupionym ubraniu. Kupił sobie to ubranie poprzedniego dnia i byłem świadkiem, jak wieczorem uczył się przed lustrem wiązać nowy, ciemnoszary krawat. Dotąd bardzo rzadko widywałem go w krawacie. Nosił koszule rozpięte pod szyją i wykładane na sweter, muszki, szaliki, nawet chustki, ale do krawatów miał głęboki wstręt. Gdy więc zobaczyłem, jak mozoli się niezręcznie z wypukłym węzłem, zrozumiałem po raz kolejny, że śmierć babki zmienia coś w nas wszystkich. I to nie tylko w sensie żałoby i smutku, nie, to nie było dokładnie to. Sam nie wiem, jak określić ten klimat, tę przemianę. Bo przecież była to przemiana. Weźmy dla przykładu choćby krawat ojca. Krawat jest potrzebny, ponieważ, gdy się zna swojego ojca i jego niechęć do wszystkiego, co oficjalne i sztywne, wtedy dopiero można ocenić jakim biegunem dla jego przyzwyczajień i przekonań był ten kawałek materiału, z którym mozolił się uparcie przez dobrą godzinę. Albo mama. Tak, jej zachowanie również nosiło w sobie wyraźne ślady przemiany, choć nie jestem pewien, czy ona sama zdawała sobie z tego sprawę. Różnica leżała bowiem w czymś nieuchwytnym, w lekkości kroków, w głębszym dźwięku głosu, w giętkiej żywości gestów, jakimi pomagała ojcu we wszystkim, czego potrzebował, w tym, co robiła dla niego zawsze, a co nagle nabrało nowych cech — w przygotowaniu śniadania, w prasowaniu koszuli, w składaniu stert rozrzucanych pod fortepianem nut. Nawet upał nie był w stanie stłumić wybuchu tej niezwykłej energii i patrzyłem ze zdumieniem na to dwojenie się i trojenie, jakie nagle wypełniło nową intensywnością nasz i tak już niezbyt spokojny dom.

Więc gdy tak biegła po mieszkaniu, poważna choć lekka jak ptaszek, nie mogłem nie myśleć o chwilach, niemal codziennych, gdy odwiedzała babkę na wielu różnych szpitalnych oddziałach. Było to koniecznością, ponieważ na każdym lekarze dochodzili w końcu do tej samej diagnozy, która polegała na braku diagnozy. Biedna babka, powątpiewano nawet w jej chorobę. Lecz jeśli jednak była to choroba, jej niejasność zmuszała lekarzy do przekazywania babki wciąż gdzie indziej, po to, by przebadać chorą z jakiejś nowej strony. W ten sposób także i my, mama i ja, zwiedzaliśmy różne zakątki szpitala, podążając śladami babki, której cierpienie, jak zwykle, wymykało się rozpoznaniu. Poznaliśmy podczas naszej wędrówki niemal cały szpital, za wyjątkiem oddziału noworodków i pediatrii, a także poznaliśmy się lepiej nawzajem, o ile właśnie tam, w zgiełku i tłoku szpitala, gdzie pozycja ojca dawała babce do dyspozycji jakieś cichsze miejsce, odkrywałem w mojej mamie cechy, których ani przedtem ani potem nie dane mi było w niej zaobserwować.

Wspominam o nich z niechęcią i żąłowaniem, ponieważ wiem, że były w mamie czymś obcym i że zniknęły, gdy tylko przekraczaliśmy w drodze powrotnej bramę szpitala. Zresztą pod tym względem mama wcale nie była wyjątkiem; podobne rzeczy działy się z dalszą rodziną i z personelem, a być może także i z ojcem, który bojąc się babki, po prostu nie przychodził w odwiedziny, tłumacząc się zbyt zawile, by ktokolwiek zrozumiał o co chodzi w tych tłumaczeniach.

Trudno ukryć fakt, że wszyscy, łącznie ze mną, stawaliśmy się wobec niej, wcześniej czy później, niecierplivi i źli. Był to dość zagadkowy fenomen, zaraźliwy jak infekcja gronkowca, przebiegający zawsze tak samo, w fazach, które rozpoczynały się troską i współczuciem a potem stopniowo ulegały transformacji w zdumienie, zmęczenie, zniechęcenie i złość. By nie nadużywać słów — babka przypominała kubek w kubek



wiele bohaterki literackich, których wspomnienie budzi w czytelnikach dygot i dreszcz. Zwłaszcza postaci dramatu antycznego byłyby w jej wypadku dobrym porównaniem, z tą wszakże różnicą, że tamte były zwykle królowymi, spotykającymi na swej drodze bogów, sfinksy i minotaury, podczas gdy ona nie mogła natknąć się w życiu nawet na jednego, energicznego konia. Jej życie stało się zatem z konieczności życiem wewnętrznym i w ostatnim okresie przypominała już raczej bohaterki Mauriaca, których nie znała z lektury, więc nie mogła być posądzona o naśladownictwo i plagiat.

Nim trafiła do szpitala, spędzała czas w chłodnych pokojach swego domu, których okna wychodziły na ogród otoczony murem z białego wapienia. Zaprawa spajająca płaskie, kamienne płytki ułożone jedne na drugich, kruszyła się i górny brzeg muru stawał się z wolna linią falistą. Nie dbała o naprawy i nie chciała, by w jakikolwiek sposób ingerowano w hermetyczną przestrzeń ogrodu zamkniętą w środku. Prawie nikt tam nie wchodził, alejki zarastały chwastami, a w miejscu usychających krzewów wyrastały bujne zarośla pokrzywy. Z czasem ogród zdziczał doszczętnie i chaszcze wysokości człowieka broniły dostępu do pnia starego kasztana, gdzie jako mały chłopiec odkryłem wielką dziuplę, groźną i zmuszałą. Fascynował mnie i długo wierzyłem, że zamieszkują ją sowy i nietoperze. W rzeczywistości była pusta, ale wiele razy, nocując w domu babki, słyszałem głos sowy z głębi ogrodu. Brzmiał w ciemności jak śmiech i babka ostrzegała mnie, że zwiastuje nieszczęście.

Do wnętrza domu prowadziła ścieżka zastawiona drewnianymi kuframi i latem pełna suszących się w półmroku ziół. Przesycił ją zapach rdestu, melisy, rozmarynu i macierzanki. Piło się je później, parzone w dzbanach na sposób angielski pod przykryciem pikowanej kolderkki, długo utrzymującej ciepło. Do słodzenia używała wyłącznie landrynek, wierząc że nie mają z cukrem nic wspólnego. Nie lubiła gotować, więc codziennie któraś z sąsiadek, opłacana w sekrecie przez ojca, przynosiła do jej domu gorący obiad. Sąsiadki zmieniały się często, ponieważ również w kwestiach jedzenia babka była kapryśna; nie pozwalała im też siadać przy tym samym stole, nie dopuszczała do słowa, monologując na własne tematy, a poza tym lubiła dawać tym skromnym kobietom do zrozumienia, że uważa je za kogoś w rodzaju płatnych służących.

Z tych powodów jej osamotnienie stopniowo rosnęło. Nie umiem sobie wyobrazić, jak spędzała dni, co robiła w środku domu, który zapelniał się stopniowo tysiącami przedmiotów bezużytecznych i przypadkowych. Wydawało się, że samo wnętrze pokoi zarasta czymś bezkształtnym, jak się to dzieje z akwariami albo z wodą stojącą nieruchomo w jeziorze. A przecież te przedmioty nie brały się znikąd, kupowała je albo znajdowała na ulicy, czując się od razu ich jedyną właścicielką. W ostatnich latach ogarnęła ją prawdziwa pasja zbieracza, nie robiąca różnicy pomiędzy zamkami błyskawicznymi i guzikami, jakie gromadziła w szufladach w ilościach hurtowych, a pojedynczymi rękawiczkami i szalikami, zgubionymi przez dzieci na skwerze, plastikowymi widelcami bez zębów, wynoszonymi z tanich restauracji, i całym mnóstwem szmatek, wstążek i kokardek, które z zapalem prała, prasowała, składała do pudełek.

Sprzątanie domu po jej odejściu do szpitala trwało trzy dni i wymagało wynajęcia samochodu-śmieciarki. Znaleźliśmy wtedy wielkie zapasy przedmiotów nigdy nie użytych, jak choćby trzydzieści par nowych butów, osiemnaście sztuk okularów przeciwsłonecznych, trzydzieści dwa nietknięte flakony taniej wody kolońskiej (nie licząc licznych fiolek po wanili, pachnących Jardin de Bagatelle albo Chanel No. 5), dziesięć kompletów garnków kuchennych i wiele innych, których wyliczanie nie ma już żadnego sensu. Jednak prawdziwym odkryciem było wnętrze szaf. Przez większość życia babki jej wielkie, dębowe szafy były zamknięte na klucz i wyobrażałem sobie ich wnętrza jako wielkie siedliska moli, które zdążyły zjeść przez lata wszystko, co nadawało się dla nich do zjedzenia. Lecz myliłem się. W szafach nie tylko nie było moli, ale nie było też prawie starych ubrań. To co zobaczyłem było inne i nieoczekiwane piękne.

Na drewnianych półkach przesyconych lekkim zapachem mydła i lawendy, leżały złożone równiutko stosy całkiem nowych, wytwornych materiałów. Dotykałem ze zdumieniem pastelowych koronek, jedwabi, gipiur i szyfonów przygotowanych do uszycia wielu sukien, w których babka mogłaby spędzić drugie, lepsze życie. Były to materiały zbędne dla jej pierwszego wcielenia, lecz może najważniejsze dla innego, jakie nigdy nie zdołało ujawnić się przed oczami świata. W każdej chwili krawcowa uszyłaby z nich kreacje wieczorowe, wizytowe, koktajlowe i nawet balowe, a w pudełkach stojących na samym dnie odkryłem dodatki, białe i czarne rękawiczki długie do łokcia, sztuczne kwiaty w wielu kolorach, torebki ozdobione haftem i dżetami, a nawet wachlarze z pośliskiej kości słoniowej i strusich piór. Leżały na półkach bezczynnie, nigdy nie użyte. Nic o nich nie wiedzieliśmy i aż do śmierci pozostały jej najpilniej strzeżonym sekretem i najbardziej wzruszającą tajemnicą.

Potem, gdy już leżała w szpitalu, nigdy ani słowem nie powróciła do kolekcji przedmiotów wypełniających jej dom. Czasem próbowałem z własnej inicjatywy nawiązać z nią na ten temat krótką rozmowę, lecz na próżno, bo nie chciała o nich mówić ani nawet słuchać, a przy najmniejszym napomknięciu odwracała się na łóżku, skarżyła na ból głowy, morzył ją sen... Nagle, z dnia na dzień, stała się wobec nich tak obojętna, jakby w jej pamięci powstała luka. Przeszłość przestała istnieć, ale przyszłość również nie nadeszła, więc babka uznała szpital za jedyną bezpieczną szczelinę w czasie, miejsce poza zasięgiem losu i wpływem przeznaczenia.

Odkryła szpital przez przypadek, pewnego letniego dnia gdy przyszło jej do głowy odbyć długą przechadzkę bez parasolki i bez kapelusza. Na kilka godzin wcześniej, rano, zapraszaliśmy ją na wycieczkę do lasu, na brzeg chłodnej rzeki. Odmówiła nie udzielając wyjaśnień, ale zrozumieliśmy, że obawia się trudu podróży samochodem, temperatury i słońca. Ale, o dziwo, po powrocie do domu ojciec znalazł nagraną na taśmę informację, że zemdląca na ulicy i że lekarz, który ją badał w izbie przyjęć obawia się porażenia termicznego, a może i udaru. Gdy przyjechaliśmy ją odwiedzić, leżała w szpitalnej sali bezwładnie, z kompresem na czole. Jednak szybko przysłała do siebie, a gdy wszyscy troje staliśmy nad jej łóżkiem, poprosiła zbornie i logicznie o jakąś lekką odzież. Zawsze żąda mi się, że zmarznę... wyjaśniła, oddając na ręce matki ciepłą, czarną sukienkę z wełnianej żorżety. Nie patrzcie tak na mnie, dodała po chwili, jestem dostatecznie stara, żeby się ubierać jak chcę, a poza tym nie stało się nic złego i ci młodzi lekarze byli dla mnie naprawdę mili i sympatyczni.

Pozostała pośród sympatycznych lekarzy przez sześć lat. Czas tamtego upalnego popołudnia stanął i nie poruszył się naprzód nawet o krok, a babka płynęła w nim w kierunku swojej śmierci, utrwalona i niezmienna jak mucha w bursztynie. Lekarze nie zawsze byli mili i wiele razy chcieli się jej pozbyć, ale zawsze w ostatnim momencie ratował ją przed wypisem jakiś nowy objaw. Nie chciała nawet korzystać z przepustek, skarżąc się żałośnie, że nie ma dokąd pójść. Byliśmy wtedy wzywani na rozmowy, a lekarze nie kryjąc potępienia odwoływali się do naszej przyzwoitości i do podstawowych norm postępowania w rodzinie. Słuchaliśmy spuszczać głowy i z pokorą udawaliśmy skrucę. Jednak gdy przepustki były już zatwierdzone, babka zawsze dochodziła do wniosku, że musi zmienić zdanie. Jej własny dom był zbyt zagracony, zimny i ponury, nasz za to zbyt ciasny, tłoczny i pełen hałasu. Postanowiła pozostać tam gdzie jest i zewnętrzna perswazja była wobec tego postanowienia cudownie nieskuteczna. Raz tylko kazała zawrócić z drogi siedząc już w taksówce, a drugi raz użyła podstępny uciekając z powrotem na oddział podczas odbierania jej płaszczka ze szpitalnej szatni.

Pokochała szpital. Gdy pytałem ją o to wprost, odpowiadała skąpo i wykrętnie, ale było jasne, że koi ją i uspokaja przymusowa monotonia lekarskich wizyt, spotkań na korytarzu, leków i posiłków. Po raz pierwszy w życiu poddawała się im bez oporu, jakby rdzeń wewnętrznego buntu został w niej złamany i zgasł. Dlatego nie byliśmy zaskoczeni, gdy pewnego wieczoru zadzwoniła z prośbą o sprowadzenie notariusza. Czy mama źle się czuje? zapytał ojciec głosem, który lekko drżał. Nie, skądże, odparła rześko, przyszło mi jednak na myśl, że czas już najwyższy, by uzgodnić szczegóły przyzwoitego pogrzebu...

Było to przed rokiem. Potem przez wiele miesięcy czuła się znakomicie i oddział gastrologiczny przekazał nam nawet kolejne ultimatum dotyczące szybkiego wypisu. Zaczęła się wtedy skarżyć na zawroty głowy, a badanie neurologa ujawniło nieobecność dotąd patologię odruchów i zaburzenia czucia na skórze. Neurologia była jednak najsmutniejszym z oddziałów, dano jej łóżko na dużej sali, gdzie inni chorzy wpadali w śpiączkę, tracili przytomność i umierali co kilka dni. Działo się to dziwnie łatwo; przychodziłem w odwiedziny, spostrzegałem sąsiednie łóżko zasłane świeżą pościelą, a babka mówiła szeptem, że ktoś znów umarł nad ranem, w jednej z tych płynnych i niejasnych godzin przelomu, gdy kończy się noc i zaczyna dzień. W jej własnej relacji były to godziny wyjątkowo złe — stukały obcasy, rozstawiano parawan, sponad którego widać było tylko stelaż na kropiółki, stłumione głosy mówiły do siebie, a potem rozlegał się turkot wózka wywożącego ciało przykryte wstydliwie białym prześcieradłem. Bala się wtedy bardzo i z całych sił zaciskała oczy, jakby w obawie, że dojrzy gdzieś skradającą się wychudłą kobietę z kosą na ramieniu. Zaczęła się zmieniać. Zżerał ją smutek, drobna twarz o rysach ostrych jak u kamei zapadła się w głąb, a ciało, nawykłe do nocnego ruchu zmalowało i skurczyło się niemal o połowę. Gdy którejś nocy umarła, tak cicho i szybko, że nie nadążono z rozstawianiem wokół niej stelażu i parawanu, sprawiała wrażenie dziecka. Krąg zamknął się. Poza konnym pogrzebem ani ona ani my nie mieliśmy w jej sprawach już nic więcej do zrobienia.

Gdy wychodziliśmy z kościoła po zakończonej ceremonii, duszący żar spadł nam na głowy jak mokra szmata. Bliskość wieczoru nie dawała ulgi, przeciwnie, powietrze stawało się coraz gęstsze i czuło się wzbierającą gdzieś w oddali burzę. Ulice wciąż były puste, a na rdzawych chodnikach wały się śmieci i niedopałki papierosów. Zerwał się wiatr, puszcza po piwie potoczyła się w naszą stronę i jej brzęk zabrzmiał jak perkusja. Maleńki kondukt formował się powoli.

Ludzi było bardzo niewiele, garstka; rozpoznałem kilku znajomych ojca i dwie spośród sąsiadek, u których kiedyś zamawialiśmy dla mamy obiady. Przyszedł stróż z parkingu, gdzie ojciec zostawiał samochód i jakaś znana mi tylko z widzenia emerytka, która pomogła mamie w pozbyciu się kotów. Ojciec wynajął też kilku ludzi z instrumentami, więc gdy ksiądz w czarnym stroju wyszedł z kościoła, konie drgnęły słysząc powolny, uroczysty marsz. Lando ruszyło. Wobec maleńkiej grupki ludzi wydawało się bardzo obszerne i aż nazbyt wspaniałe.

Szliśmy za nim krok za krokiem, ulicami wydrążonymi w bryle miasta jak rozpalone kaniony. Gdy po raz pierwszy usłyszałem to dziwne trrrrach, byłem zbyt zaabsorbowany ciężarem własnych nóg, żeby zwracać na nie uwagę. Ale gdy dźwięk powtórzył się, pomyślałem, że to matka potknęła się o własne obcasy. Lecz nie, było to coś innego, dźwięk głuchy i nieokreślony, który przybył znikąd i rozplynął się nie dając echa. Dostrzegłem, że ojciec również nadśledkuje, ale zgodnie udaliśmy, że go nie słyszymy.

Lecz przy następnym grzmocie stało się jasne, że musimy się spieszyć. Bo to był grzmot, tym razem jeszcze bliższy, dochodzący jakby wprost z wnętrza ziemi. Wciąż jeszcze wszystko odbywało się zgodnie z programem i byliśmy już bardzo blisko wejścia na cmentarz. Nasz kondukt mijał powoli halę sportową, rząd sklepów i dawne budynki uniwersyteckie, zbudowane z czerwonej cegły w brzydkim stylu neogotyckim. Te budynki wiązały się w mojej pamięci z babką, bo gdy byłem mały, prowadziła mnie na ławkę przy skwerze naprzeciw głównych drzwi i zezwalała bawić się swobodnie na łysym trawniku. Obserwowałem ją wtedy, zerkając pilnie na ludzi wchodzących i wychodzących, którzy poruszali się z pośpiechem, jak na niemym filmie. Wielu z nich to sławy, mówiła do mnie szeptem, o, patrz, to ten pisarz, podróżnik, geolog... Nie wiem skąd ich znała. Nie obchodzili mnie. Patrzałem tylko na nią, nareszcie ożywioną i zainteresowaną, siedzącą na ławeczce plecami do krawężnika i do rozwidlenia dróg.

I znów mijaliśmy to samo rozwidlenie dróg. Jedna prowadzi wprost na cmentarz, a druga, szeroka i prosta, odrywa się od miasta biegnąc ku dalekim wzgórzom. Gdzieś pośród tych wzgórz leży stadnina i czulem, że konie poznały szeroki i wznoszący się horyzont. Zastrzygły uszami, a prowadzący je chłopiec zapanował nad gwałtownym ruchem ich głów. Gdy spadły na ziemię pierwsze krople deszczu, mieliśmy wprost przed sobą bramę wjazdową, cienistą alejkę za murem i gdzieś na jej końcu kamienną płytę, pod którą czekał na babkę jej mąż. „Tak przemija chwala świata...” zaintonował smutny głos księdza. I wtedy nagle wszystko zaczęło toczyć się jak lawina.

Deszcz, który lunął, był gęsty i przezroczyły jak ściana ze szkła. Jego intensywność od razu przekroczyła wszelkie granice i w ciągu kilku sekund rozpętał się ponad naszymi głowami prawdziwy cyklon. W kaskadach wody lejącej się z nieba było coś historycznego, jakiś naturalny choć trudny do uwierzenia szal i płacz. W jednej chwili ubrania mieliśmy przemoczone na wylot i ociekające wodą, a biedne konie zarżały, chcąc koniecznie cofnąć się. Ich oczy były przerażone, zmoknięte grzywy wyglądały po prostu żałośnie, a gdy uderzył pierwszy piorun, chłopiec, który je prowadził musiał ciągnąć uzdy ze wszystkich sił. Sytuacja z każdą minutą stawała się coraz trudniejsza. Ulewa nie tylko nie słabła, ale jeszcze przybierała na sile, a pomruk grzmotu objął swoim echem cały horyzont. Grupka żalobników rozpieczęła się natychmiast pomiędzy daszkami przycmentarnych kiosków i nawet ksiądz, niepewny co robić, dał zgrabnego susa pod wystający z muru okap. Kiwał do nas stamtąd otoczony zieloną aureolą bluszczu, z której strużki wody tryskały jak fontanny. Tylko my czworo, ojciec, mama, chłopiec od koni i ja, byliśmy zmuszeni wlec się przed siebie, ledwie widząc zza ściany deszczu bramę otwartą szeroko na nasze przyjęcie. Słyszałem jak mama jęczy cichutko, potykając się na podjeździe ułożonym z brukowej kostki. Włosy spięte z tyłu w klasyczny węzeł opadły pod ciężarem wody i leżały jej na ramionach, a mały, czarny kapelusik przekrzywił się i wisiał ponad lewym uchem. Nie poprawiała go, trzymając się kurczowo mojego ramienia i pomyślałem, że chyba będę miał w tym miejscu sinięć, gdy wtem pomruk burzy nasilił się jeszcze bardziej i tuż ponad głowami zobaczyliśmy błyskawicę, po której nastąpił ogłuszający grzmot.

Tym razem konie przestraszyły się jeszcze bardziej i ojciec musiał rzucić się na pomoc chłopcu trzymającemu uzdy. Obaj wyglądali jak postacie kłownów, byli przemoczeni do nitki, oblepieni ziemią i błotem. Przez chwilę szamotali się gwałtownie i już, już, zdawało się, że dadzą sobie radę, gdy wtem piorun strzelił po raz trzeci. Wtedy, w jednym mgnieniu, spełniło się wszystko naraz: fatum, gniew nieba, pech i czarny żart. Mama krzyknęła ooch... i jeszcze raz ooch, ooch, ale było już za późno. Konie poniosły. Nie zdążyłem uchwycić sekundy, w której się to stało, i zobaczyłem je od razu jakby w locie, bo był to prawdziwy lot przez burzę, przez krzyk i przez powietrze. Lando z trumną mknęło za nimi jak dziecinna zabawka, coraz mniejsze i coraz gorzej trzymające się powierzchni ziemi. Straciliśmy nad nim wszelką kontrolę i staliśmy osłupiali w potokach wody, nie wiedząc, co robić. Lecz nie pozostało już nic do zrobienia, bo nagle na naszych oczach lando oderwało się od zaprzęgu i trumna od landa, a konie, nareszcie uwolnione, galopowały pustą i pochyłą ulicą w stronę wzgórz. Aż wreszcie zwały się w jeden ruchomy punkt i zmieniły w uciekającego ku niebu Pegaza...

Czasem zamykam oczy i znów widzę to wszystko bardzo dokładnie. Znów leje deszcz, ludzie krzyczą histerycznie, strzaskana trumna osiada na jednym, a szczątka landa na drugim chodniku, niebo jest niemal czarne, a miasto wygląda jak Toledo El Greca podczas mistycznej wizji burzy. Ale jednak zawsze najważniejsze są konie zbite w jeden, odlatujący punkt. Wybijają kopytami rytm zwariowanej rumbi albo charlestona i w panice ucieczki porywają ze sobą duszę tej, której ciało leży porzucone na mokrym chodniku. W ten sposób po wielu, wielu latach spełnia się przepowiednia i dusza babki, czy wreszcie zadowolona?, odchodzi w zaświaty. Dokonuje tego w tajemniczej a przecie niezaprzeczonej zgodzie z przeznaczeniem, które rozumie ją równie dobrze, a może nawet lepiej niż my, i dlatego litościwie dostarcza na ostatnią drogę niezbędnych rekwiizytów — burzy, werbla gromu i światła błyskawic. Babka po raz pierwszy może wykorzystać je aż do dna. I robi to. Jej dusza, za życia spragniona przygód, opuszcza ziemski padół tak właśnie, jak powinna.

Anna Potoczek

Roman

W liceum

Władysław Sikorski krytycznie ustosunkowany do Piłsudskiego, czynił wszystko, by nie osłabić lwowskiego garnizonu.

Po trzech dniach dotarła do nas wiadomość o obaleniu władzy konstytucyjnej. We Lwowie zavrzało. Rozpoczęły się gorące dyskusje, kontrowersje, polemiki. Jedni oskarżali Piłsudskiego, ganili, potępiali, drudzy go bronili, usprawiedliwiali, apoteozowali. Gorące te dyskusje nie wychodziły poza krąg subiektywnych odczuć i postaw. Od czasu do czasu podawano sobie przy kawiarnianych stołkach na ucho informacje, że ktoś tam kogoś posiekał czy postrzelił. Byli to z jednej strony apologety Piłsudskiego, często legionści, z drugiej — wyznawcy innych politycznych przekonani, krytycznie do Piłsudskiego ustosunkowani. Najczęściej obie poważnione strony uznawały w myśl kodeksu Boziewicza — sprawę honorowo za załatwioną i wszystko kończyło się w którymś z lokali przy kieliszku.

Ostatecznie sprawa zamachu stanu rozplynęła się w „austriackim gadaniu”. Wydawało mi się, że jest to symptomatyczne dla stosunków galicyjskich. Wówczas odżyła myśl ucieczki z tego zaśniedziałego, filisterskiego środowiska, w którym żyłem i z którym stykałem się. Doszły do tego jeszcze inne bardzo już subiektywne powody. Jeden z nich tkwił w charakterze mojej pracy.

Byłem asystentem katedry filologii polskiej prof. Bruchnalskiego. Jedynym asystentem, jeden był bowiem dla tej funkcji etat. Poza czasochłonnymi zajęciami dydaktycznymi miałem pod swą opieką czytelnik i bibliotekę katedry z kilkunastoma tysiącami pozycji, obowiązków prowadzenia konsultacji ze studentami i załatwiania wszelkiego rodzaju spraw powierzonych mi przez profesora. Każdy dzień wypełniony był tak dużą ilością obowiązkowych zajęć, że o własnej naukowej pracy nie mogło być mowy. Wynagrodzenie moje wynosiło 120 zł miesięcznie i z trudnością wystarczało na pokrycie najniezbędniejszych potrzeb. Pensja natomiast początkującego nauczyciela szkoły średniej była o 50% wyższa, wynosiła bowiem 180 zł miesięcznie.

Drugi powód był bardziej osobisty. Przed pół rokiem poznałem dziewczynę, studentkę germanistyki, w której zakochałem się. Byłem wówczas zaręczony z inną. Również i moja nowa miłość miała narzeczonego. Oboje byliśmy przekonani, że to nasze uczucie jest prawdziwe. Zerwaliśmy nasze narzeczeństwo z poprzednimi osobami, nie mogliśmy wszakże uniknąć od czasu do czasu ich spotkania. To nie było dla nas czworga przyjemne. Myśleliśmy wówczas, że chyba lepiej byłoby dla nas przeniesienie się poza Lwów. Te nieskrystalizowane jeszcze, w podświadomości tkwiące zamierzenia odżyły nieoczekiwanie pewnego dnia wieczorem kiedy przez blisko dwie godziny profesor omawiał ze mną organizację ćwiczeń i seminariów w nadchodzącym roku szkolnym. Po zakończeniu rozmowy zęgnalem się z nim i wtedy przypomniał sobie o piśmie, które jak twierdził, nosił już od paru dni w teczce, jak się zaś później okazało — od paru tygodni. W piśmie tym kurator Liceum Krzemienieckiego prosił profesora o zarekomendowanie do Liceum któregoś z młodych polonistów.

— Niech pan to weźmie — rzekł wręczając mi list — i wyszuka kogoś stosownego.

Treść pisma była interesująca. Przyszłemu polonistcie oferowano etat, możliwość podjęcia dodatkowych zajęć naukowo-badawczych, specjalne dodatki i przywileje.

Schodząc ulicą Mikołaja w dół, w kierunku Akademickiej, przebiegałem w myśli nazwiska kolegów, ewentualnych kandydatów. Nie było ich wielu. Już wówczas na polonistyce przeważały kobiety, na których zatrudnienie Liceum nie reflektowało.

Po chwili myśl o Krzemieńcu przesłonił blask świateł, neonów, wystaw sklepowych i barwny korowód przechadzających się ludzi. Poprzez szerokie okiennice witryn cukierni Zaleskiego przyglądały się przechadzającym się wytworne starsze panie, nieco dalej z otwartych na

Roman Czernecki, urodzony w 1904 roku w okolicach Lwowa, polonista i filozof, rozpoczął pracę pedagogiczną po I wojnie światowej od Liceum Krzemienieckiego, następnie nauczał w Borysławiu. W okresie okupacji zorganizował tajne nauczanie w Kielcach zakładając podziemne gimnazjum i liceum, które z czasem stało się filią UJ na Kielecczyźnie. Po wojnie został dyrektorem WSP w Gdańsku, a następnie, po przeniesieniu się z rodziną do stolicy, objął dyrekcję Seminarium Nauczycielskiego w Warszawie.

W późniejszych latach był wykładowcą historii filozofii i logiki na Politechnice Warszawskiej. Po śmierci w grudniu 1986 r. pozostał po nim obszerny tom wspomnień, które zatytułował *Pamiętniki starego nauczyciela*. Fragmenty ich poniżej publikujemy.

Jedyną na dobę pociąg ze Lwowa do Krzemieńca odjeżdżał z Dworca Głównego tuż przed północą. Zająłem miejsce w przedziale prawie pustego wagonu, oprócz mnie bowiem w sąsiednim siedziało dwu czy trzech oficerów, a w dalszym wnosząc z sarmackiej fizjonomii jakiś kresowy hreczkosiej, z żoną i córką.

Po wyjeździe z hali dworcowej otworzyłem okno i wpatrywałem się w migające światła gazowych latarni ulicznych biegnących równoległe do torów Słonecznej, Zamarystaowskiej, Podzamcza.

Od Wysokiego Zamku powiał chłodny, orzeźwiający wiatr. Wkrótce pociąg skierował się na płn. wschód, pozostawiając za sobą lunę miasta.

Przyćmiłem w przedziale światło, położyłem się i próbowałem usnąć. Na próżno. Wyobrażenia poczęła odtwarzać ostatnie przeżycia, szeregować je i porządkować. Zrodziła się świadomość, że ustabilizowany tok życia uległ zachwianiu.

Po raz pierwszy przyszło mi to na myśl przed paru miesiącami pod wpływem lektury świeżo właśnie wydanego „Przedwiośnia”. Powieść ta ukazała na tle konfliktów polityczno-społecznych szamotanie się rówieśnika naszego pokolenia, Cezarego Baryki. Stanął przed nami problem: czy mamy być biernymi świadkami rozwoju wydarzeń, czy też czynnymi ich uczestnikami: a jeśli tak, to po której stronie barykady. Postawa bierna oznaczała wybór na pozycji mieszczańsko-filisterskich. Przejście na pozycje zaangażowane, co sugerowało zakończenie powieści, wymagało przewyciężenia wielorakich oporów. Wreszcie postawa czynna manifestująca się w zwalczaniu narastających nurtów rewolucyjnych wymagała zadania gwałtu kształtowanemu przez lata humanizmowi, wrażliwości na zło i krzywdę ludzką. Wydawało mi się, że tę wewnętrzną walkę trzeba będzie wkrótce rozstrzygnąć i że w warunkach lwowskich przejście od postawy dołąd pasywnej do aktywnej będzie bardzo trudne.

Innego rodzaju wydarzeniem, które w jeszcze silniejszym stopniu zachwiało dotychczasowym życiem był zamach stanu dokonany przez Józefa Piłsudskiego w maju 1926 r. Przeżyliśmy go we Lwowie w szczególnym dramatycznym napięciu. Zdawali sobie sprawę, że poszerzenie się wojny domowej na inne regiony kraju może pociągnąć za sobą, tu, na kresach, nieobliczalne konsekwencje: zbrojne powstanie ukraińskich nacjonalistów. Oczywiście wszyscy nas zwrócone były na armię. W skład garnizonu lwowskiego wchodziły: 19, 26 i 30 pp 5 i 6 p.art. i 15 p. ulanów Jazłowieckich. Niektórzy z wyższych oficerów, jak np. dowódca 19 pp. pplk. Zulauf byli legionistami, bez reszty oddanymi Piłsudskiemu. Na wieść o zamachu stanu rwali się do Warszawy na pomoc komendantowi. Dowódca O.K., gen.

WSPOMNIENIA

Czernecki

Krzemienieckim

oścież drzwi lokalu śniadańkowego Teliczkowej dochodził rozgwar męskich głosów, obok kawiarni Welza grupka korporantów w kolorowych deklach lustrowała spacerujące dziewczęta.

Na ulicy Legionów tłum zgęstniał. Z I piętra kawiarni „De la Paix” przenikały na ulicę dźwięki mędnego fokstrota, dalej migotał czerwony kulisty neon nad zamkniętym jeszcze o tej porze kabaretem Maxa Bürgera.

Od czasu do czasu w wieczorną symfonię wielkomięskiej ulicy wdierał się dysonansem zgrzyt hamującego tramwaju lub ostry krzykliwy dźwięk głosu kolarza wieczornych dzienników.

Z mroku Wałów Hetmańskich uśmiechały się zaczepnie czyjeś oczy, a spod pomnika Jana III dobiegał refren piosenki głupiego Szczepcia. Nie wiem, w jakim momencie to wszystko, co mijalem, ten rytm życia, w który byłem od lat włączony, z którego byłem dumny, wydał mi się płytki, próżny, banalny. Wiem, że po drodze do domu po raz drugi wróciłem myślą do Krzemienia. Tę właśnie wieczór powziąłem postanowienie: pojadę, zobaczę, rozważę.

W miarę oddalania się pociągu od Lwowa coraz oporniej kojarzyły się wyobrażenia, coraz większe tworzyły się luki, wreszcie rytmiczny stukot kół pograżył mnie we śnie. Obudziło mnie gwałtowne szarpnięcie drzwiami i głośnie wejście do przedziału kilku osób. Byliśmy w Dubnie. Switało. Kolejarze odczepiali część składu pociągu idącego do Równego, do pozostałej doczepiali parowóz. Po chwili pociąg ruszył. Jechaliśmy przez kraj lekko sfalowany. Mijałymi żrudziatami ścierniska, barwne złote i purpurą liści dąbrowy, przecinaliśmy leniwe płynące potoki.

Na stacji Werba wsiadł do pociągu kilkunastoosobowy oddział wojska, w hełmach, w bojowym rynsztunku. Któryś z pasażerów półgłosem informował, że tu właśnie, pod Werbą poszły wczoraj z dymem zabudowania osadników wojskowych, stogi pszenicy, inwentarz. O sprawach podpalenia krążą różne gadki. Jedni zapewniają, że czynią to terrorystyczne bandy nacjonalistów ukraińskich, inni, że są nimi dywersyjne oddziały przerzucane z zagranicy, jeszcze inni, że są to pospolici bandyci. Pomyślałem sobie: oto pierwsze jaskółki kresowej egzotyki.

Do Krzemienia przyjechalimy przed 7 rano. Ze zwalniającego biegu pociągu poczęli wyskakiwać pasażerowie i pędzić co tchu do oczekujących na podjeździe przed dworcem kolejowym kilku dorożek.

Na wysokich kozłach siedzieli woźnicy — Żydzi. Zamiast powszechnych w Małopolsce jarmulek mieli na głowie niebieskie lub granatowe okrągłe czapki z krótkimi daszkami. Nad dyszlami wznosiły się kabluki, tak charakterystyczne dla rosyjskich zaprzęgów. Mimo upychania przez woźniców nadbiegających pasażerów nie wszystkim udało się zająć miejsce w dorożce. Do tych ostatnich i ja należałem. Początkowo chciałem pójść do miasta pieszo, kiedy wszakże ktoś poinformował mnie, że odległość wynosi kilka kilometrów, począłem rozglądać się za jakimś wehikulem. Na podjeździe obok dorożek stało parę chłopskich furmanek oraz dwie bryczki. Na kozle pierwszej siedział ułan, na drugiej stangret. Podszedłem do tego drugiego z prośbą o zabranie mnie do miasta, do liceum. Ku memu zdziwieniu okazało się, że jest to pojazd liceum, wysłany na dworzec po kogoś z pracowników administracyjnych.

W chwili później dwa kare wałachy mknęły wąskim wąwozem w kierunku miasta. Z prawa i z lewa wznosiły się pagórki pokryte krzewami. Wzdłuż długiej dojazdowej przedmiejskiej ulicy zdobnej szpalerem strzelistych topól, parterowe domki. Przed nimi ogrody kwitnące mieniącymi się jaskrawymi kolorami astrów, nagietek, dali i malw. Za budynkami bardzo liczne ogrody owocowe. Właściwe miasto rozpoczęło się od zabudowań katedry prawosławnej. W jedno — lub w dwuipiętrowych budynkach mieściły się na parterze sklepiki, prawie wylą-

cznie żydowskie, zakłady rzemieślnicze, krawieckie, szewskie, szklarskie, paszeczniarne, herbaciarnie, piwiarnie, cukiernia, kino, poczta.

W centralnym punkcie miasta po prawej stronie jadąc od dworca na znacznym wzniesieniu kompleks zabudowań licealnych. Pośrodku portal kościoła o dwu równoległych wieżach i dwu równoległych basztach; po prawej od niego poprzez zabytkową bramę wjazd w obręb zabudowań administracyjnych, na lewo do szkół i internatów. W obrębie zabudowań liczne domy dwupiętrowe, w większości stare, z nowych hotel licealny, z gospodarczych — elektrownia.

W tyle za zabudowaniami rozległy park. Naprzeciw gmachów licealnych po drugiej stronie ulicy cerkiew prawosławna, nad nią góra „Bony ochrzczona imieniem, wyższa nad inne miastu przodująca cieniem”, zdobna malowniczymi ruinami starego zamczyska.

Jest wczesny ranek. Kuratorium jeszcze niedoczepione. Za radą portiera idę na śniadanie do kasyna licealnego.

W przestronnych dwu salach nakryte białymi serwetami stolki, przy nich — jak się domyślałem — nauczyciele i pracownicy administracyjni liceum. Pomieszczenie to niczym nie przypomina stołówek akademickich.

W kilkadziesiąt minut później przedstawiam się wizytatorowi dr Markowi Piekarskiemu, posiadającemu uprawnienia kuratora. Pytam go o stosunki w katedrze, o moje zainteresowania naukowe, o powiązania z organizacjami studenckimi. Mówi o swych ambitnych planach przywrócenia Liceum sławy Wołyńskiego Ateneum, uczynienia z uczelni Ośrodka kultury polskiej, promieniującej na środowisko, wspomina o dotychczasowych osiągnięciach: o wywalczeniu dla Liceum uprawnień autonomicznych, o przydzieleniu na zaspokojenie ekonomicznych potrzeb zakładów naukowych rozległych gospodarstw rolnych i lasów, o projekcie uprzemysłowienia ich, dalej o Roku Słowackiego i związanych z nim pracach.

Na zakończenie rozmowy wyraża przypuszczenie, że chyba będę się tu dobrze czuł, po czym kieruje mnie po szczegółowe wyjaśnienia do naczelnika wydziału szkół, p. Jana Trzcinieckiego.

Mój kolejny rozmówca, polonista, podobnie jak wizytator Piekarski, wychowanek Uniwersytetu im. Jana Kazimierza, dobrze zna prof. Bruchnańskiego, widzi w mojej osobie młodszego kolegę tej samej dobrej szkoły. Jest skłonny zatrudnić mnie natychmiast w starszych klasach gimnazjum im. T. Czackiego. Do czasu znalezienia większego samodzielnego mieszkania, proponuje zamieszkanie w hotelu licealnym, zachęca do stolowania się w kasyynie, wreszcie obliuguje do pracy w Komitecie sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju. Pod koniec pyta czy jestem żonaty, oferowanego mi bowiem stanowiska nie może objąć kawaler. Później wyjaśniono mi, że w ubiegłym roku szkolnym zaszła konieczność zwolnienia dwu młodych nauczycieli — kawalerów za flirty z uczennicami, stąd decyzja angażowania żonatych. Ostatnim w tym dniu rozmową był dyrektor gimnazjum Czackiego, p. Wilkoszewski, z wykształcenia zdaje się historyk, niski, garbusek, czynił wrażenie zakłopotanego swą funkcją. Wyjaśnił mi, że trzeci tydzień nie mają uczniowie lekcji j. polskiego w klasach VI, VII i VIII, i że do tych właśnie klas poszukuje polonisty. W toku rozmowy zapytał, czy nie zechciałbym zetknąć się i porozmawiać z moimi ewentualnymi przyszłymi uczniami. Propozycję tę z przyjemnością podjąłem i po przerwie zostałem zaprowadzony do jednej z maturalnych VIII klas. Po chwili dyrektor wyszedł i oto pozostalem sam na sam z kilkadziesiąt młodymi ludźmi.

Zapytałem o przerobiony w poprzedniej klasie materiał, o zainteresowania czytelnicze i o życie kulturalne młodzieży licealnej. Intuicyjnie czułem, że obserwując mnie dziewczęta i chłopcy oczekują ode mnie zaprezentowania im próbek moich polonistycznych upodobań

i umiejętności. Sprowadziłem więc rozmowę na obchodzony w kraju Rok Słowackiego, scharakteryzowałem osobowość „Króla Ducha” i wygłosiłem pogadankę na temat dzieł krytyki Słowackiego, przedmiotu mojej pracy dyplomowej.

Słodziłem uważnie w toku wykładu zachowanie się klasy. Widziałem wprawdzie nudę na twarzy jednego i drugiego ucznia kurtuazyjnie maskowaną potakiwaniem mi głową w takt wykładu, ale widziałem również żywe zainteresowanie innych dziewczętą i chłopców.

Kiedy pod koniec prelekcji rozległ się dzwonek i kiedy zamierzałem przerwać ją, rozległy się głosy: prosimy dokończyć. Było to dla mnie bardzo miłe. Wydało mi się, że ta prezentacja wypadła korzystnie. Wszystkie te kontakty i wszystkie rozmowy uważałem za nieobowiązuujące, z czym zresztą się nie kryłem.

Ośmej rano zgłosiłem się do dyrektora gimnazjum im. T. Czackiego dla objęcia — jak brzmiało sformułowanie na dekrete nominacyjnym — „obowiązków służbowych”. Gimnazjum, w którym w dniu 4.X.1926 r. rozpocząłem pracę było jedną z trzech szkół średnich wchodzących w skład Liceum Krzemienieckiego. Do gimnazjum przyjmowano młodzież z ukończoną szkołą powszechną, na podstawie egzaminu wstępnego. Nauka trwała osiem lat. Zadaniem gimnazjum było przygotowanie uczniów do podjęcia po maturze studiów wyższych. Zróżnicowane zainteresowania i uzdolnienia młodzieży znalazły odbicie w 4 różnych typach: w typie klasycznym, humanistycznym, przyrodniczym i matematyczno-fizycznym. Każdy z tych typów posiadał odpowiedni profil, określony siatką godzin i programem nauczania. W gimnazjum np. klasycznym uczono łaciny, greki, języków nowożytnych i w szerokim zakresie kultury antycznej. W gimnazjum przyrodniczym pogłębił się program nauki botaniki, zoologii, geologii itp. Najbardziej upowszechniony był typ humanistyczny, za najbardziej udane uchodziły typ klasyczny i matematyczno-fizyczny. Gimnazjum Czackiego w Liceum Krzemienieckim było gimnazjum matematyczno-fizycznym. Wyeksponowane w nim były więc nauki ścisłe, a podstawowym zadaniem szkoły było przygotowanie młodzieży do studiów technicznych. Najważniejszy problem w realizacji tego zadania sprowadzał się do kadry nauczycielskiej. W powojennych latach, w których rozpoczęłem pracę pedagogiczną, szkoły średnie miały trudności w zaspokajaniu potrzeb kadrowych. Trudności te występowały przede wszystkim na ziemiach kresowych, zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie, tu bowiem w czasach zaborów nie było polskiego szkolnictwa. Toż wielką zasługą wizytatora Piekarskiego było skompletowanie w Liceum Krzemienieckim świetnej, wysoko kwalifikowanej, doświadczonej kadry pedagogicznej, której Liceum zawdzięczało wysoki poziom pracy dydaktyczno-wychowawczej. Z taką kadra nauczycielską spotkałem się w gimnazjum Czackiego. (...)

W tym zespole nauczycieli byłem niewypierzonym złotodziobem. W pierwszych dniach mojej pracy czułem się jak człowiek nie umiejący pływać, rzucono na głęboką wodę. Toteż krztusiłem się i zachlystywałem nie jeden raz. Przede wszystkim przekonałem się, że po pierwsze — moje wiadomości z literatury polskiej wyniesione ze studiów mają niewielką praktyczną przydatność, po drugie — że nie mam wyobrażenia o planowaniu lekcji w czasie i wreszcie po trzecie, że nie umiem poszerzać celów nauczania poza poznawcze.

Błędy pierwszej grupy polegały najczęściej na zbyt liberalnym, nierównomiernym traktowaniu materiału programowego. W jednych przypadkach, kiedy pewne partie materiału nauczania dobrze znałem, urządzałem obszernie dygresje, poszerzałem i pogłębiałem materiał programowy, w innych, które mniej znałem, spłycałem go i zawężałem. Błędy metodyczne polegały na nieumiejętności rozplanowania lekcji w czasie i na nieumiejętności formułowania pytań. Raz były one zbyt obszerne, ogólnikowe, niezrozumiałe dla młodzieży, innym razem wąskie, drobiazgowo. W następstwie tzw. kłósz sprawdzająca albo przeciągała się na kilkadziesiąt minut albo trwała kilkadziesiąt sekund. W pierwszym przypadku dzwonek przerywał mi zajęcia w najbardziej nieodpowiednim miejscu, w toku analizy utworu literackiego. Nie było wówczas mowy o dokończeniu, o rekapitulacji, o wyjaśnieniu tematów pracy domowej. W drugim kończyłem zaplanowane czynności dydaktyczne na 15 minut przed dzwonkiem, nie

wiedząc czym wypełnić nadmiar czasu.

Takie sytuacje były dla mnie okropne. Czuję się zawstydzony, upokorzony, kłamię w duchu czas raz pędzący niepowstrzymanie, innym razem wlokący się żółwym krokiem. (...)

Główna tradycja Liceum Krzemienieckiego, rozmach w odbudowie i w rozbudowie uczelni, dobry poziom dydaktyczny, bogate formy prac wychowawczych wpłynęły na wzrost zainteresowań reaktywowanymi zakładami naukowymi. W rezultacie ilość zgłaszających się do gimnazjum znacznie przerastała limit wolnych miejsc. Wizytator Piekarski zmuszony był ustalić pewne kryteria przyjęcia. Według nich pierwszeństwo miały sieroty po poległych żołnierzach, synowie i córki osadników wojskowych, polska młodzież kresowa, a dopiero w dalszej kolejności młodzież innych narodowości. Napływ kandydatów do liceum był tak liczny, że w jego murach mogła pomieścić się zaledwie połowa zgłaszających się. Młodzież więc licealna była niemal wyłącznie polska. W sześciu klasach gimnazjum, w których uczyłem, miałem tylko dwie uczennice Rosjanki, córki emigranta, znakomitego profesora matematyki Uniwersytetu Moskiewskiego — Bogolubowa. Dla pozostałej, nie przyjętej do Liceum młodzieży otwarto w Krzemieńcu koedukacyjne gimnazjum Samorządowe typu humanistycznego. Obok chłopców i dziewcząt polskiej narodowości uczyła się w nim znaczna ilość młodzieży ukraińskiej, rosyjskiej i żydowskiej.

Ponadto czynne były w Krzemieńcu gimnazjum ukraińskie i żydowskie, to ostatnie utrzymane bodajże przez Gminę Żydowską.

Starania o wznowienie Liceum Krzemienieckiego rozpoczęto w roku 1919, w dwu środowiskach, w Krzemieńcu i w Warszawie, przez szereg osób skupionych w Macierzy Szkolnej. Zostały one uwieńczone sukcesem 27 maja 1920 roku, aktem reaktywującym Liceum podpisanym przez Józefa Piłsudskiego. Dalsze akty normatywne zapewniły Liceum autonomię i określiły jego stan posiadania. Złożyły się na nie sześć gospodarstw rolnych i 15 leśnictw o powierzchni 1600 ha ziemi ornej i 35.000 ha lasów, oraz zespół zabudowań licealnych.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wizytator Piekarski znakomicie zdawał sobie sprawę z wyjątkowej politycznej pozycji Liceum Krzemienieckiego. Uważał on je za wyspę polskości, wyspę otoczoną żywiołami etnicznymi nam obcymi, Ukraińcami, Żydami, Rosjanami. Pragnął uczynić wszystko, aby promieniować na otoczenie polską nauką, polską kulturą, polską cywilizacją. Tylko w ten sposób rozumiał kontynuację idei Tadeusza Czackiego. Tak też rozumieli ją wszyscy uczyący, pracujący i uczeni się w murach Liceum.

Ta linia polityki oświatowej spotkała się z bardzo ostrą krytyką czynników rządowych. Czy słusznie? — Chyba tak.

Reaktywując Liceum Krzemienieckie z myślą kontynuacji stworzonych przed stu kilkudziesięciu laty tradycji pedagogicznych należało koniecznie poddać je rewizji i nawiązywać tylko do tych, które mogły być przystosowane do współczesności. Inną bowiem funkcję spełniało Liceum na początku XIX w., a inną po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Powołane do życia w 1805 roku, początkowo jako gimnazjum, przekształcone następnie w 1813 roku w Liceum miało być ono bastionem polskości przeciw tendencjom rusyfikacyjnym. W zgola odmiennych politycznych warunkach rozpoczęło Liceum pracę w roku 1922. Kulturowanie tradycji narodowych, rozwijanie i pogłębianie uczuć patriotycznych młodzieży w wolnej Polsce w izolacji i w oderwaniu od żyjących obok mniejszości narodowych przyczyniło kształtowaniu u młodzieży szowinistycznych postaw. Z drugiej strony dla większości Polaków zamieszkałych we wschodnich województwach myśl o wprowadzeniu młodzieży ukraińskiej do Liceum Krzemienieckiego, uważanego za sanktuarium polskości, była nie do przyjęcia.

Rok 1926, w którym rozpocząłem pracę w Krzemieńcu, był piątym kolejnym rokiem szkolnym w historii reaktywowanego Liceum. Plan rozwoju uczelni tej opracowany przez wizytatora Piekarskiego wyznaczył w hierarchii zadań na pierwszym miejscu zdobycie dla Liceum Krzemienieckiego państwowych aktów normatywnych określających jego funkcję; dalej stworzenie bazy materialnej i dopiero w oparciu o nią wypracowanie właściwego profilu uczelni i stworzenie warunków dla podjęcia szeregu prac dydaktyczno-wychowawczych, nowoczesnych, eksperymentalnych. Ten układ zadań był konsekwentnie realizowany.

KSIĄŻKI

List z niewielkiego dominium

Emily Dickinson
List do świata.

Wybór, przekład, wstęp i opracowanie
Danuta Piestrzyńska
Wydawnictwo ZNAK, Kraków 1994.

Mając w pamięci znakomite wprowadzenie Stanisława Barańczaka do przekładów poezji Emily Dickinson, w lekturze jej listów trudno oprzeć się pokusie zbliżenia do zagadki życia tej amerykańskiej poetki.

Przypomnijmy: autorka ogromnego pliku wierszy w zasadzie zataiła swą twórczość przed światem; zamknęła się w pokoiku na piętrze rodzinnego domu i zrezygnowała z bezpośrednich kontaktów z bliskimi. Pomni ostrzeżeń tłumacza utworów lirycznych, który słuszenie zlekceważył dosłowne i natrętne próby wyjaśnienia decyzji odsunięcia się od świata iluzji, upatrując w takiej egzystencji wzór losu poety, w zetknięciu z prywatnością pisarki zdobyć się musimy na wyjątkowy takt. Nie jest to trudne. Ostrożność i uwagę narzuca sama wieloznaczna materia epistolografii Dickinson.

Z obfitej korespondencji przyswojono w przekładzie zaledwie jej cząstkę. Niedosyt jest jednak połowicznie łagodzony sposobem, w jaki dokonano wyboru; obcowanie z tekstami z wielu lat uzmysławia, że pomimo dystansu czasowego ognia listów zlewają się w zapis jednolity. Całość owa jest ponadto silnie skondensowana, a intensywność przekazywanych treści nakazuje lekturę niespieszną, pozwalającą delektować się — powiedzmy to od razu — głębią poetyckiej prozy, w jaką przekształcają się w wielu fragmentach intymne rozmowy z bliskimi.

Listy najwcześniejsze, pisane przez jedenasto-, dwunastoletnią dziewczynkę, przekonują, że już w dzieciu ukrywa się niebanalna dusza poetki. Z kolei listy późniejsze zdają się mówić, że dziecko na zawsze przechowane zostało we wnętrzu osoby dorosłej. Romantyczny topos artysty, istoty ex definitione „infantylny”, naiw-

nej, ciągle twórczej przez poszukiwanie samo-określenia, zyskuje w korespondencji Dickinson dosłowny wymiar, poświadczony literackim autentycznością. Autokreacja w listach wiąże się bowiem z prawdziwą i szczerą potrzebą odnawiania indywidualnego kontaktu ze światem oraz jego mieszkańcami. Intelktualna chłonność dziecka, dążenie do tego, by po raz pierwszy spojrzeć na rzeczywistość, rodzi następnie potrzebę dorosłego już człowieka, by zachować dostęp do nieskażonych nudą czy rutyną myśli i obserwacji.

Fenomen tak naszkicowanej postawy życiowej i artystycznej prowadzi na trop problematyki słowa, nurtującej Dickinson — poetkę i autorkę listów. Do znanego w swoim czasie krytyka i literata Thomasa Higginsona, Emily zwraca się z następującą prośbą: *Chciałabym się uczyć — Czy mógłby mi Pan powiedzieć, jak urosnąć — czy też nie można tego przekazać — jak Melodii — bądź Czarów?* Nazwana tu nieumiejętność zdobycia dojrzałości twórczej, która dla Higginsona oznacza poprawność, dyscyplinę, posłuszeństwo literackim szablonom, daje uparcie niedorosłej artystce szansę dwójakiego rodzaju. Po pierwsze wyzwala odwagę w istocie, która zdaje się nie znać reguł obowiązujących w dorosłym świecie literatury (tak naprawdę jednak uważna czytelniczka Biblii, klasyki i literatury współczesnej wybiera własne ścieżki posłuszna intuicji zawartej w takiej oto sentencji: *Kiedy moje myśli nie są odziane — mogę je rozróżnić, ale kiedy przyodzieję je w suknie — wyglądają jednakowo i sztywno.* Język poetycki w liście i w wierszu jest po to, by zbliżyć się do „nagiej” myśli, uwalniać od gorsetu retoryki). Po wtóre kondycja dziecka zdaje się odpowiadać uniwersalnemu pojęciu ludzkiego bytu,

który pisarka definiuje w swej autorefleksji. Życie jest dla niej istnieniem „maleńkim”, mikroskopijnym, owadziem... Jest wstępem czy też bramą do — „być może” (poetka nieustannie wątpli) — życia nie tylko optycznie, większego. Dziecko ukryte w twórcy nie waha się więc nazwać muchę „maleńkim człowiekiem”; nie spogląda z góry na miniaturowe istoty, lecz poszukuje powinowactwa dla niewielkiego „ja” człowieka.

Stan niekończącego się dzieciństwa jako symboliczna rama sytuacji egzystencjalnej artystki tłumaczy charakterystyczny ton niektórych listów. Tylko do pewnego stopnia można zgodzić się z tłumaczką i autorką wstępu do epistolografii Dickinson, że w jej dialogach z przyjaciółmi pobrzmiewa sentymentalizm. Uczuciowy odcień emanujący z listów zmierza do jakości stanowczo różniące się od naskórkowej czułości, która za przedmiot obiera ludzi oraz okoliczne elementy świata. Poetka pozwala sobie raczej na „mikropatos” miłosnego uniesienia. Jednocześnie manifestuje własną nadwrażliwość ze znaczącym dystansem. I tak emocjonalność nastawiona na obcowanie z drobiazgiem oraz uwikłane uczuciowe relacje z adresatami przelamane zostają ironią, autoironią, myślowym paradoksem. Figury te — jako literackie sygnały — odsłaniają pozór posiadania przedmiotu uwielbienia, iluzję zagarnięcia świata samym podziwem i tymczasową mocą uczucia. Równocześnie sentymentalna maniera opisu zostaje wyparta przez odkrycie, że obcowanie poety z własnym otoczeniem nie może ograniczyć się do wyznania i do zasuszania jego cząstek w sztambuchu konwencji. Poetka stara się raczej to, na co spogląda, ujrzeć raz jeszcze w słowie. Utrwalający zapis traktowany jest jak zaczarowany klucz do niewiarygodnego, wędrującego piękna rzeczywistości. Magia słów zmierza do wyłowienia z potoku języka zaklęć otwierających utracony widok, czy zdobytą na moment pewność. Dickinson posługuje się niejednokrotnie wielkimi literami traktując nazwy rzeczy jak ich imiona.

Wczesnej intelektualnej dojrzałości artystki i jej „wiecznej” twórczej młodości sprzyja, jeśli można tak powiedzieć, zewnętrzna konieczność i wewnętrzny nakaz bliskiego zżycia się ze śmiercią: *Życie to śmierć, z którą się ociągamy, śmierć — zawias u życia.* Niemal katastroficzne doznanie równoczesności pór roku, zlewanie się stref ludzkiego trwania każe wewnętrznie konfrontować młodość z projektem doświadczenia starości. „Ja” dziecka potrafi więc wcielić się w postać staruszki.

Tematyka śmierci i przemijania wysuwa się w listach Emily Dickinson na plan pierwszy, a co ważniejsze pozostaje w ścisłym związku z nadaną epistolografii komunikacyjną rolę, która w szczególny sposób wzięta zostaje w cudzysłów. Korzystając z formuły tytułowej wyboru korespondencji, zacerpnętej z wiersza — *To wszystko — to mój list do Świata/Co nigdy nie pisał do mnie, powiedzieć można, iż listy — tak jak poezja — nie są pisane „w*

odpowiedzi”. Wysyłanie zapisanych stron jest zaledwie smutnym pretekstem dla mówienia o braku, nieobecności, niemożności spotkania się z adresatem. Epistolografia poetki staje się znakiem nieuchronnego odzierania człowieka z obecności innych. Autorka listów daje do zrozumienia, że znajduje się coraz bardziej sama w świecie, który przez to, że ubywa bliskich osób ogromnie ponad miarę ludzkich proporcji.

Rozstania, pożegnania, przeprowadzki to dramaty dosłowne, które Dickinson przenosi na teren metafory ludzkiego losu. Przeprowadzka okazuje się ponadto rozbięciem człowieka na „sterty”, dezintegracją, czy wręcz nalożeniem na uciążliwą kondycję „Piełgrzymą” bezsensownej włóczędzy: *Trudno mi opowiedzieć o naszej przeprowadzce. Wolalabym raczej o niej nie pamiętać. O ile wiem, cały mój „dobytek” został przeniesiony w pudle modniarskim, a moje „nieśmiertelne” ja, piechotę, parę chwil później. Zrobiłam w tym czasie spis mych paru zmysłów, a także kapelusza, paltta i moich najlepszych butów — ale wszystko się pogubiło w tym meele, a z latarnią w rękę poszukuję siebie.* „Śpiętrzenie” podróży jest ponad siły człowieka. Ideałem poetki stanie się bezruch. Wybór takiej formy istnienia łagodzi trudy wędrówki — tej jedynej, od której człowiek nie potrafi się uchylić. Nawet wówczas, gdy kultury własną niegotowość — o czym ciągle wspomina poetka. Wobec podróży ostatecznej Emily zdobywa się też na pełen grozy żart, którym oswaja własne niepokoje: *Jak dotąd nikt do nas nie zaszedł, z wyjątkiem pewnej starszej damy, która chciała obejrzeć dom. Skierowałam ją na cmentarz, aby zoszczędził jej kosztów przeprowadzki.*

Nadanie własnemu życiu dynamiki „podróży w miejscu” wyraża potrzebę dotarcia do centrum. Tylko „niewielkie dominium” pozwala zacieśniać się do jedności z wywołanym w wyobraźni nieskończonym światem i ludzkimi postaciami, do których mówią listy. Zapisane w epistolografii głębokie doświadczenie samotności przekształca się w codzienną, wywołoną z uroczystych tonów metafizykę. Przemierzanie unieruchomionego „ja” to dla poetki dążenie do takiego wymiaru bytu, w którym nikt nie będzie na zewnątrz, w którym zabraknie adresatów korespondencji.

P.S. W listy Emily Dickinson wplecione są niekiedy wiersze. Nie jedyny to powód, dla którego dozwolona jest lektura przemienna, traktująca korespondencję i poezję jako części różnorodnie jednolitego myślenia o słowie, człowieku i przestrzeni jego egzystencji. W tych dwóch porządkach spotykamy podobną zasadę organizowania wypowiedzi: jest nią wola ukazania odwrotnej strony pospolitości. Literacka wyrazistość umożliwia autorce listów i wierszy rozdarcie powłoki pozornie statycznego życia. Wolę poetki wspiera „nieznane” — źródło trwogi i lęku, ale też — jak pisze Dickinson — *wielka intelektualna potrzeba człowieka.*

Katarzyna FAZAN

KSIĄŻKI NADESŁANE

MARIUSZ GRZEBALSKI: „NEGATYW”, Pracownia, Ostrołęka 1994.

Piąty tom Biblioteki „Pracowni” autora pochodzącego z Łodzi (rocznik 1969), związanego obecnie z poznańskim czasopiśmie „Już Jest Jutro”.

TOMMY OLOFSSON: „CIEŃ LUSTRZANEGO ODBICIA”, Wydawnictwo Carmelitatum, Poznań 1994.

Skrumny wybór liryki szwedzkiego poety, tłumacza i krytyka literackiego, współpracującego ze znanym dziennikiem „svenska Dagbladet”, autora ośmiu zbiorów poezji. Przekład i opracowanie: Ewa Niewiarowska.

ANTONI KIEMYSTOWICZ: „W CIENIU DOBREGO SŁOWA”, Wydawnictwo „Lingwista”, Nowy Sącz 1994.

Trzeci tomik nauczyciela, dziennikarza o poety (ur. 1948), laureata wielu nagród i wyróżnień literackich.

URSZULA AMBROZIEWICZ: „PAPIEROWE MIASTECZKO”, Dom Kultury w Płocku, Płock 1994.

Wydany nakładem Klubu Artystycznego Płocczan interesujący wybór z poetyckiego dorobku niedawno zmarłej autorki,

wydawcy, redaktorki naczelnej pisma „Solidarność Ziemi Płockiej”.

MAGDELENA JANKOWSKA: „ZBIÓR OTWARTY”, Wydawnictwo Lubelskie Nowe, Lublin 1994.

Autorka tych lirycznych miniatur ukończyła filologię polską na UMCS, gdzie obecnie pracuje. Jej poprzednie tomiki to: *I co dalej?* oraz *Kula i skrzydło* (1992).

FRIEDRICH NIETZSCHE: „LISTY”, inter esse, Kraków 1994.

Po raz pierwszy w języku polskim ukazuje się wybór epistolografii Nietzschego: *Listy* to źródło informacji o prawdziwym życiu i stosunku do życia tego filozofa o tak niezwykłej historii osobistej. Wybrał, przełożył i przedmową opatrzył Bogdan Baran.

JAN MARIAN GULAK: „HISTORIA MATKI POLSKIEJ”, Księgi I i II”, Kielce 1993.

Zamierzeniem autora z Kielca jest napisanie: *monumentalnego utworu poetyckiego, w którym zamierzam przedstawić całość dziejów Polski (...). Oczywiście mam świadomość, że po ukończeniu poematu byłby to pierwszy utwór poetycki całościowo przedstawiający historię*

kraju w formie eposu nie licząc oczywiście utworów o charakterze fragmentarycznym „Iliady” i „Odysei” — Homera czy też „Eneidy” Wergiliusza (...). Oto próbka tego monumentalnego rymotwórstwa: Dalszy postęp objawiała epoka miniona, Przez powszechne chociaż żmudne oswajanie konia, Dzięki czemu spowszechniały na terenie „kraju”, Radła, wozy, przez dostępność różnego sprzężaju.

Autor liczy na stypendium twórcze — być może minister Dejmeck wesprze Homera z Kielca!

PIOTR MATYWIECKI: „KAMIEŃ GRANICZNY”, Oficyna Wydawnicza Latona, Warszawa 1994.

Dziwna i przejmująca to książka — relacja stanu świadomości warszawskiego poety, który analizuje zagładę narodu żydowskiego, powolne zabijanie mieszkańców getta warszawskiego z pozycji „gettowego pogrobowca”.

ROMAN NOWAK: „ROZPIERZCHNIĘCIA”, Wydawnictwo Artystyczne book-art, Poznań 1993.

Czwarty tomik poetycki autora z Poznania (rocznik 1963), piszącego po polsku i niemiecku.

JAROSŁAW KLEJNOCKI: „OSWAJANIE”, Towarzystwo „Ogród Książ”, Warszawa 1993.

J. Klejnocki (ur. 1963) debiutował jako poeta na łamach warszawskiego kwartalnika naukowego i literackiego „Ogród” w roku 1991. *Oswajanie* to jego pierwszy tomik poetycki, grupujący wiersze w lat 1990-1992.

DARIUSZ DORN: „ROK PALONEGO MIĘSA”, Biblioteka Oddziału Bydgosko-Toruńskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Bydgoszcz 1994.

Poeta urodził się w 1961 w Bydgoszczy. Debiutował w roku 1983. W 1986 ukazał się jego album poetycki pt. *Przed złotym strzałem*. Mieszka w Hamburgu.

STANISŁAW DĄBROWSKI: „VOX HUMANA”, Biblia w lirycie Tadeusza Nowaka”, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1993.

„W swoich szkicach Dąbrowski przekonująco wykazał, iż problematyka religijna (głównie biblijna) zajmuje w lirycie Nowaka centralne miejsce, a rola motywów religijnej ulegała w niej stalemu nasilaniu. Określił też dokładnie jej źródła inspiracyjne, którymi były: Biblia, apokryfy, ludowa wersja motywów biblijnych oraz własna tradycja środowiskowa i rodzinna pisarza”. (Z recenzji wydawniczej prof. Tadeusza Klaka).

KSIĄŻKI

Na jałowym brzegu

Andrzej Sosnowski
Sezon na Helu
Stowarzyszenie Literackie „Kresy”,
Lublin 1994.

Debiut Andrzeja Sosnowskiego — *Życie na Korei* — wyróżniony został w 1992 roku nagrodą im. Młakiewiczówny. Kolejny tom, *Sezon na Helu* jest potwierdzeniem talentu tego poety. Talentu i rozległości poetyckich dopływów: od narzucającego się skojarzenia z *Sezonem w piekle* Rimbauda, czy, bliżej szukając, *Sezonem* Wojaczka, po Lautréamonta (*Lautréamont Mix*) zresztą, z nazwisk przywoływanych w tym tomie poetów i postaci literackich można by ułożyć całkiem sympatyczny i interesujący leksykon. Cytaty, kryptocytaty, nawiązania, parafrazy — to istotne elementy poetyckiej materii świata budowanego w *Sezonie na Helu*. Poetyka odległych skojarzeń, często niemal surrealistycznego przepływu obrazów, wreszcie gier słownych (wiersz zatytułowany *Na bocznym torze*, a jałowym brzegu rozpoczyna się wersem: „I przyszedł anonim: na jałowym biegu...” —) dopełnia wrażenie gęstości tej przestrzeni. Stylistycznym, a więc poniekąd formalnym odpowiednikiem owej konsystencji jest posługiwanie się rozległym okresem, zdaniem wielokrotnie złożonym, pełnym wtrąceń i dygresji. Wszystko to razem może skłonić kogoś holdującego intelektualnym modom do mówienia o klasycznym tekście postmodernistycznym.

Ja osobiście wolę dawne i sprawdzone terminy i skłania się do określenia tej poetyki jako barokowej: gęstej, soczystej, zmysłowej, zarazem też intelektualnie bogatej, świadomej formy, jaką się posługuje (w końcu barokowo-turpistyczno-kosmiczny jest obraz z wiersza *Na bocznym torze*: „...wiatki zwieracz chwilowego słowca”). Przy czym zwraca tu uwagę — bardzo obrazowo wyszukane — wyznaczenie: *I nigdy już poeta — kruchy i skomplikowany jak obłąnacza machina — nie będzie górował nad czernią pod blankami bytu. („Na bocznym torze...”)*

Wcześniej dowiadujemy się, że „zardzewiałą spinacz na dnie szklanki w piwem jest (...) obrazem historii, którą cedzisz przez zęby...”. Zderzenie bytu z historią i czerni z poetą (oczywiście „czerni” w obu przynajmniej znaczeniach tego słowa) nie jest w tej poezji zabiegiem przypadkowym. Byt ma przewagę nad historią, poeta nad czernią — przynajmniej dotąd tak było. I oto: był został zredukowany do historii „cedzonej przez zęby”, poeta zrównany z czernią, pospółstwem i ciemno-

ścią. Gra, którą podejmuje Sosnowski, nie jest oczywiście grą nową, lecz jest grą śmiertelnie poważną (tu dobrą ilustracją jest wiersz *R. R. (1877—1933)* To gra z losem, gra z życiem — o sens istnienia. Gra, w której wiadomo, że nie wszystko jest przewidywalne, gdyż nie da się zmierzyć doraźności tak samo jak istnienia wykraczającego poza nią: *Lecz rytm nie gra, gdyż jedna dłoń na tamtych świecie.*

Dwa płomyki zapalają papierosa, ale dłoń z zapalką samotna, jedna, która pisze, już po drugiej stronie. („Zyciorys”)

Temu, co doraźne towarzyszy to, co ukryte, do czego, jeśli mamy dostęp, to tylko na chwilę, mgnienie:

*Miłość
nie jest tym słowem, ani żadnym innym.
Wiersz je wypowiada jak wojnę błyskawiczną.
 („Piosenka dla Europy”)*

Warto przy tym pamiętać, że wojna błyskawiczna nie była wypowiedziana.

Wiersz jest dotknięciem, lecz tylko dotknięciem, przecuciem, w żadnym wypadku poznaniem i wiedzą „tamtego świata”. W złożeniach słów, w kompozycji cytatów i tropów, symboli i nazwisk tych, którzy szli tą drogą przed nami, odsłaniają się na chwilę — by zaraz zniknąć — zarysy świata prawdziwego, spełnionego i zarazem niespełnionego tu i teraz:

*O spotkaniu naszych oczu będą milczeć media
choć zapadły na nim decyzje wyjątkowej wagi.
 („Sezon na Helu”)*

Ale też właśnie interesuje Sosnowskiego wszystko to, co skazane zostaje na milczenie mediów — detale życia wymykające się wielkim panoramom, encyklopediom, leksykonom:

*Powiedzmy, optyczna gęstość ciał: czy nie wzrasta pod spojrzaniem bliskich?
 („Killarney”)*

Z jednej strony historia, którą opisują podręczniki (*Powstanie pewnej kolonii*), z drugiej trwanie drobnych, intymnych niemal poruszeń rzeczy, „eteryczne ujęcia śniegu na Antarktyce”. *Powstanie innej kolonii*. To świat budowany przeciw historii, a ku istnieniu, którego

nie da się pojąć do końca, nie da się „przedstawić”: „*Być więc i nie być, oto jest pytanie*” *Zmienia to postać legendarnych rzeczy.*

Gra słowna, gra cytatem stanowi nie „chwyt poetycki”, lecz mechanizm istnienia w słowie — posługując się nim poeta nie eksponuje swej techniki, jak to zdarza się w poezji nazywanej „lingwistyczną”, przeciwnie, czyni z niego niejako stylistyczne tło swej wypowiedzi. Przy czym myliłby się ten, kto traktowałby ów mechanizm jako rodzaj zabawy podejmowanej tylko dla samej radości bawienia się. Stapiąc tekst kultury z tekstem intymnej opowieści, z tekstem decyzji nie odnotowywanych w mediach, zderzając to co powszechne z tym co osobiste, dąży Sosnowski do skonstruowania języka przeciwstawiającego się mowie, jaką zastąpi:

*Ale mieliśmy tylko słowa i nie nasze słowa,
ale mieliśmy motory i to nie nasze motory
gasnące w melancholii jesiennych*

*wieczorów
kiedy dni schodzą szpalerem ku ziemi
i niebo
jest ostre jak błękitny skalpel tnący dno
oka — dno naszego oka lecz nie nasze
dno
broczące posoką artezyjskich slajdów
z antyklin nieswoich rzeczy.
 („Poniekąd śnie, skądinąd muszę”)*

Można chyba zaryzykować twierdzenie, że jest to poezja mająca świadomość, iż brzeg, do którego dotarła kultura „nie naszych słów”, do brzegu jałowy, jałowa ziemia „historii spuszczonej z łańcucha” (określenie Stempowskiego), odpersonalizowanej, wyzbytej intymności, żyjącej o tyle tylko, o ile wyraża się w mediach, w anonimowym świecie. Poeta ma szansę budzić do życia nowe światy, osobne, być może oddalone, lecz poświadczane realnością detalu i „własnym słowem”.

Leszek Szaruga

Moralitet z Kresami w tle

Jan Adamski

Batiar. Małe opowiadania z Podola, Polesia i Podkarpacia
Kraków 1994.

Jan Adamski pisze tak jak mówi, a mówi tak jak czuje. Od serca, całym sobą. A że Jan Adamski to urodzony gawędziarz i człowiek z szeroką, kresową duszą, szczerzy człowiek, jakby powiedzieli jego krajanie, to i nie sposób rozdzielić w tym przypadku osoby autora od osoby narratora. Pisanie „własnym życiem i własną krwią” przynosi nierzadko żalosne efekty i bywa wątpliwym przywilejem grafomanów. Jednak, broń Boże, nie o Adamskim to mowa. Bo jest on aktorem, ma wrodzone (a może nabyte?) poczucie formy. Pisze sobą, ale nie o sobie. Pisze o ziemi swojej młodości i o ludziach spotykanych po drodze, pisze o czasie, który przeminał bezpowrotnie, przepadł w zawierusze burzliwej historii, by nigdy już się nie odrodzić poza pamięcią. Temat to niebezpieczny, łatwo można tu wpaść w utarte koleiny bogoojczyźnianej nuty. Niebezpieczeństwa tego jednak udaje się autorowi uniknąć, dzięki poczuciu humoru, którym okraszane są jego opowiadania i dzięki, wspomnianej już, formalnej dyscyplinie.

Utworki zebrane w *Batiarze* zbliżają się gatunkowo do gawędy, nie są jednak typowymi gawędami. Żywioł epicki został bowiem w nich zastąpiony żywiołem lirycznym, opisowość — nastrojowością, czas przeszły — czasem przeżywania. „Kiedyś” wywołane słowem zaczyna istnieć w „zawsze”, poza czasem historycznym. Jest to „zawsze” wewnętrznego świata autora-narratora, świata zbudowanego z mi-gawokowych okruczeń zdarzeń, ludzi i pejzaży utrwalaonych w ułamku widzenia, świata zakodowanego w wyobraźni i sercu jako archetyp rajy i wzorzec wszelkich wartości. To tamten, odeszły w przeszłość, a żywy we wspomnieniu świat dzieciństwa i wczesnej młodości stanowi dla narratora punkt odniesienia, swego rodzaju zwornik jego późniejszej orientacji w rzeczywistości. To tamten dawny świat jest czymś oczywistym i śladów jego piękna oraz przejrzystości jego kodeksu etycznego wypatruje narrator przeniesiony w inny czas, w inne realia. Tym, co spaja w pewną całość poszczególnie opowiadania *Batiara*, dziejące się w różnych miejscach i na

przestrzeni znacznego odcinka czasu, jest wspólna dla wszystkich utworów filozofia życia oraz wynikająca z niej hierarchia wartości. Określenie „filozofia życia” jest może zbyt szumne i błędnie sugeruje posiadanie przez bohaterów jakiegoś zwartego i wyraźnego sobie przez nich uświadamianego systemu przekonań. Bohaterowie *Batiara* zaś to ludzie prości, doznający życia w jego bezpośrednim konkrety i nie poddający swoich przeżyć drobiazgowym wiwerek. To również ludzie z wrodzonym instynktem moralnym, ludzie w sposób naturalny ukierunkowani na wybór dobra. Czasem są to zupełnie małe, wydawałoby się na pozór gesty, jak owo pożegnanie Bakunienki, którym jednak wyraził i ludzką solidarność z sąsiadami, i odwagę bycia z zagrożonymi uwięzieniem, i polskie sympatie — skoro słowa swoje okraślił mową wygnańców. Dobroć Bakunienki urasta w pamięci narratora do rangi symbolicznej, ucząc go zarazem, iż nigdy nie należy ulegać uprzedzonom, że dobrych ludzi spotkać można także wśród tych, których uważa się za swoich nieprzyjaciół. Jeszcze dobitniejszy przykład tej prawdy przynosi wspomnienie o komendancie NKWD, który — mimo swej funkcji — potrafi okazać serce zespanej kobiecie, czy o starym rosyjskim żołnierzu konwojującym wysiedlonych, który nie wahał się jawnie okazać sympatię i pomoc zesłańcom. Zwyczajna dobroć, manifestująca się w najprostszych gestach, wydaje się naczelną wartością kierującą postępowaniem bohaterów Adamskiego.

Bohaterowie *Małych opowiadań* to także ludzie wolni, nawet gdy fizycznie ich wolność ogranicza mur więzienny, syberyjski żrący leśny czy system nakazów polityczno-wojskowych. Najbardziej wolnym człowiekiem w tomie Adamskiego jest tytułowy Batiar, postać typowo lwowska, odmalowana z pietyzmem i nie ukrywającą nostalgią. Batiar jest wolny, bo nic nie posiada, żyje nie troszcząc się o materialne potrzeby, wierząc w swoje szczęście do ludzi, w ich dobre serca, w to — że „jakoś to będzie”. Wraz z postacią Batiara wkracza do opowiadań Adamskiego lokalny koloryt, zazna-

czany zresztą również w innych utworach, ewokowany poprzez opisy pejzażu czy przypomnienie baśni, podań i wierzeń tamtejszego ludu. Batiar to emanacja nieskrępowanej swobody, to apologia całkowitej wolności i wersji radosnej, ekstazy, pochłaniającej bez reszty, przynoszącej poczucie szczęścia i pełni. Batiar to równocześnie postać jakby egzotyczna, już w czasach, których dotyczy wspomnienie autora ukazywana jako relikw, niespodziewanie ocalała pośród zmieniającego się świata, wcielenie prawdziwej duszy lwowskiej.

Jeżeli Batiar prezentuje wolność w wydaniu trochę folklorystycznym, to dla pozostałych postaci stanowi ona — z jednej strony — przedmiot tęsknoty, z drugiej zaś — przestrzeń wypełniania dobra, budowania między-ludzkiej więzi ponad podziałami narodowymi, społecznymi i wyznaniowymi. I niezależnie od całego mistrzostwa w nakreśleniu sylwetki Batiara, to właśnie to drugie rozumienie wolności nadaje opowiadaniu Adamskiego głębię i naznacza je specyficzną atmosferą serdecznej powagi. Gdy Ukrainiec, majster Fedio Furkuca, prosi w syberyjskim zrebie Polaków, by zaśpiewali zasłyszaną przezeń maryjną pieśń polską, i gdy potem, wraz ze swymi pobratymcami przekłada jej słowa na ukraiński, by móc ją razem — każdy w swoim języku — wykonywać, to nie tylko przełamuje stereotyp wrogości panujący między obydwojma narodami, lecz — nieświadomie — buduje ekumeniczną jedność, opartą na wspólności doświadczenia religijnego.

Czymś może jeszcze bardziej podstawowym od braterstwa poprzez wiarę jest dla bohaterów *Batiara* solidarność w nieszczęściu, odczuwana jako zwyczajna przyzwoitość, uczciwość i wdzięczność. Myślę tu przede wszystkim o utrzymanym w tonie anegdoty, opowiadaniu *Koc, czyli nagrodzona dobroć serca*, w którym polski szlachcic okazuje współczującą pomoc żydowskiemu współwzięźniowi, a ten — skoro tylko wypuszczają go na wolność — nie zapomina o swoim dobroczyńcy, ale w poczuciu wypełniania fundamentalnej powinności moralnej, wyjednuje mu u władz bolszewickich zwolnienie. Tak sam odruch sprawiedliwości każe napisać białoruskim chłopom petycję w obronie ich polskiego pana, gdyż „krzywdy wieśniaczej nie ma w nim za kopiejkę”.

Świat bohaterów *Batiara* wyrasta z przekonania o ostatecznym prymacie dobra nad złem i pod tym względem przypomina on średniowieczny moralitet. Nie jest to jednakże świat, w którym zło byłoby nieobecne, mimo

dominującej w nim pamięci o tym, co dobre. Narrator opowiadał sięga wspomnieniami do czasów młodości, wydobywa chwile jasne i krzepiące, by uzyskać pewną psychiczną obronę przed zwątpieniem w człowieczeństwo. Na zapleczu bowiem jego świadomości i w tle jego zapisków czai się zło. Zło bynajmniej nie abstrakcyjne, ale doświadczone naocznie w dziejącej się historii.

Świadomość istnienia zła jest u narratora zupełnie wyraźna i ona to mobilizuje go do zapisania wszystkiego, co złu zaprzecza, zmniejszając przez to jakby jego groźną moc. Gdyby za kulisami tekstu nie zaznaczała się owa ciemna smuga wojny, podłości, donosi-cielstwa, małoduszności, mielibyśmy do czynienia z próbą restytucji utopii, z sielskimi obrazkami szczęśliwego dzieciństwa na arkadyjskich kresach Rzeczypospolitej.

Narratorowi przyświecają wszakże inne cele. Jego pozornie lekkie w tonie gawędy nie tyle mają wskrzeszać dawny mit, co przywracać pamięć o tamtej ziemi i tamtych ludziach. Ziemi pięknej, lecz tragicznej, ludziach dobrych na ogół i poddanych próbie człowieczeństwa na skalę normalnie nie spotykana. Stąd każde opowiedziane przez Adamskiego wydarzenie, każda sportretowana postać nabiera wymowy symbolicznej, stając się znakiem sprzeciwu wobec zniewolenia. Obok wymiaru symbolicznego równie istotny, a może jeszcze istotniejszy wydaje się w *Opowiadaniach z Podola, Polesia i Podkarpacia* wymiar dokumentu, nie tylko i nie tyle historycznego, co ludzkiego i moralnego. „Jeśli sumienie wam sadłem nie obrosło i wódka duszy nie przepaliła, na litość Boga, szukajcie...”. To dramatyczne wezwanie z Litanii Żnibrodzkiej unosi się niedostęgalnie nad całym tomem. Naczelną racją dla gawęd Adamskiego jest głos sumienia, nakazujący mu zachować, ocalić dla przyszłości prawdę o wewnętrznym pięknie i głębokim tragizmie mieszkańców Lwowa, Stanisławowa, Buczacza i setek miejscowości na wschód od Bugu, których nazw nikt prawie już dzisiaj nie pamięta.

Większość tekstów z *Batiara* dotyczy kresowej przeszłości. Do książki włączone zostały także opowiadania współczesne, związane najczęściej z tematyką szpitalną, motywowaną — jak wolno się domyślać — autobiograficznie. Decyzja skojarzenia w jednym tomie utworów tak różnych nie wydaje się — z artystycznego punktu widzenia — najszcześniejszą. Opowiadanka szpitalna, skądinąd sympatyczne, wprowadzają ostre i nieuzasadnione dys-nans. Burzą pewną jednolitą tonu nadającego charakter całości.

Zofia Zarębianka

CAMERA OBSCURA

Zygmunt Kalużyński („Polityka” nr 28) utrzymuje, że Kisiel został napiętnowany w przemówieniu Gomułki z r. 1968 „ponieważ napisał, że głównym naszym dorobkiem jest produkcja ciemniaków”, dodaje przy tym, że Kisiel utrzymywał, że był to błąd drukarski, bo miało być „ziemniaków”. Wszystko to razem nie trzyma się kupy: Kisiel nie pisał, lecz mówił, i to nie o produkcji lecz o „dyktaturze ciemniaków” na zebraniu warszawskich literatów w marcu 1968 (jedno z najgłośniejszych powiędzeń całej epoki PRL!) — więc ów koncept z błędem drukarskim zawisa w powietrzu. (hm)

Krzysztof Mroziewicz („Polityka” nr 28) pisząc o środkowoeuropejskim stereotypie człowieka wzbogaconego na Zachodzie, powołuje się na felieton Gabriela Garcii Marqueza o czeskim emigrancie, który wraca do kraju i nie rozpoznany przez rodzinę, zostaje przez nią dla pieniędzy zamordowany. Pytanie: czy trzeba się powoływać akurat na Marqueza, gdy chodzi o historię opisywaną w polskich pismach dla ludu z początku XX wieku, a rozstawioną przez znacznie wcześniejsze od Marqueza dramaty: Rostworowskiego (*Niespodzianka*) i Camusa (*Le malentendu*)? (hm)

Niestety, jeszcze raz ten sam (21) numer „Polityki”. Andrzej Koraszewski pisze, a redakcja bez zastrzeżeń drukuje, iż „po roku 1918 Eliza Orzeszkowa miała pretensje do Conrada, że nie wraca do kraju i odbudowywać go nie pomaga”. W roku 1918 Eliza Orzeszkowej od ośmiu lat nie było wśród żywych... (hm)

Z chronologią na bakier jest również Maciej Krassowski („Wiadomości Kulturalne” nr 7), gdy twierdzi, że w r. 1918 jedną z postaw artystycznych, „wydobytą z niedawnej przeszłości” była koncentracja na „biegłości artystycznej”, głoszona przez Witkacego, co oddziało na bezprogramowość i bezideowość „Skamandra”. Pomińmy tę okoliczność, że „biegłość artystyczna” nie była bynajmniej zasadą estetyczną Witkacego (prędzej już można by to powiedzieć o wczesnych wypowiedziach jego ojca). Istotne jest, że przed r. 1918 (w „niedawnej przeszłości”) żadnych teorii estetycznych publicznie Witkacy nie głosił i nie mogły one oddziaływać na Skamandrytów. (hm)

Roman Pawłowski („Gazeta Wyborcza” nr 159) twierdzi, że Maksym Gorki został „zlikwidowany” przez władzę komunistyczną. O otruciu Gorkiego przez „wrogów ludu” mówiono w czasie procesów moskiewskich, hipoteza, że śmierć jego została spowodowana na rozkaz Stalina, też się pojawiła, nigdy jednak nie została udowodniona. (hm)

Aleksander Kaczorowski („Gazeta o książkach” nr 7) pisze, że w r. 1920 Kafka przebywał w podwiedeńskim uzdrowisku Meran. Meran, a po włosku Merano, bynajmniej nie znajduje się pod Wiedniem, lecz w dolinie Adygi. Do r. 1918 należał do Austrii, później — do Włoch. (hm)

Prof. Stanisław Barańczak mówi w wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej” nr 162, że w r. 1918 „literatura dawniejsza skończyła się jak nożem uciął i pojawiły się nowe nazwiska”. Jak nożem uciął? Musiałby ten noż prof. Barańczaka uwieźć pośrodku twórczości Żeromskiego, Berenta, Leśmiana, Staffa, Irzykowskiego, Boya, Kadena, Nałkowskiej, Struga, Rostworowskiego... (hm)

W „Wiadomościach Kulturalnych (nr 8) Tadeusz Stefańczyk upomina się o zasługi literackie Artura Sandauera. Autor ma wiele racji, ale raz po raz traci panowanie nad swoim piórem. Artykuł nosi tytuł „Hetman krytyki polskiej” — ale cóż to był za hetman, jeśli nie miał za sobą wojska? Stefańczyk nadaje dalej Sandauerowi miano „Sarmackiego Jahwe”, choć sarmatyzm trudno się w nim dopatrzyć, a parę zdań dalej gani tych, którzy robili z Sandaera „Boga Ojca powojennej krytyki”. Najbardziej zadziwia ubolewanie Stefańczyka, że nie ma dziś „sprawy Sandauera”, jak kiedyś istniała „sprawa Brzozowskiego”. Czyżby autor nie wiedział, że „sprawa Brzozowskiego” to było posądzenie go o współpracę z Ochraną? (hm)

Marcin Piasecki („Polityka-Kultura” nr 31) chwali wyda-

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Rutkowskiego, to nauczyciel kaligrafii zatrząsł się ze strachu. Mickiewicz wyruszał do Rzymu, pismo wzywało Adama do pojednania się przed tak ważną podróżą z Towiańskim. Rutkowski wykręcał się, zwodził, prosił Słowackiego o zastępstwo, Słowacki się wahał, Rutkowski nalegał tłumacząc, że jest „jednym z tych braci, którego brat Adam znieść nie może”.

Jednak 22 stycznia 1848 roku Rutkowski wręczył Mickiewiczowi pismo na peronie dworca kolei orleańskiej, a nawet ośmielił się wykaligrafować na marginesie śmiały, jak na niego, dopisek: *Jako powołany i naznaczony na służbę Sprawy Bożej, chociaż wielce dłużny Bogu i bliźnim, i pracujący dziś wyłącznie z sobą tylko na drodze odrobku ducha za winy przeciw Duchowi, obowiązkiem jest moim łączyć się wszędzie i zawsze z prawdą*. Adam przyjął podobno pismo „w wielkim skupieniu”, ale pewno nie z powodu dopisku nauczyciela kaligrafii.

Jeden Rutkowski na zmartwychwstańców napisał paszkwil, drugi — pouczał Mickiewicza. Z Rutkowskim — zawsze utrapienie, ale przyznać trzeba, że mieszał się w sprawy ważne, delikatne, pikantne też — niestety.

Teodor Ernest Rutkowski wręczał papier wzywający brata Adama do pogodzenia się z mistrzem, bo chociaż koło Sprawy Bożej polamało się w roku 1846, to przecież Mickiewicz nigdy nie zwątpił w prawdę Towiańskiego. To mistrz Andrzej w końcu się Adama wyparł, a zmartwychwstańcy obydwóch potępił.

Adam wyruszał tamtego styczniowego dnia do Rzymu, by

i bezbożna herezja ogłoszona: imię polskie i pierwsza literacka chwala, którą już i cudzoziemcy nauczyli się byli poważać, w pośmiech i poniewierkę oddane. Katedra słowiańska, jeden z ośrodków opatrzonych w ręce polskie dany, rozpustnie na złe użyta. Dopóki tego, o Panie! Zmiluj się nad nami!

Skąd książdz Smolikowski cytował wykład Mickiewicza z Collège de France trudno dociec, w każdym razie różni się on znacznie od znanego nam zapisu z wydań „Dziel” Mickiewicza.

Smolikowski w rozprawie *Stosunek Adama Mickiewicza do XX. Zmartwychwstańców* starał się, jak mógł, by udowodnić, że stosunek zmartwychwstańców do Adama Mickiewicza był serdeczny i szczery, choć Adam był chory, cierpiał na herezję: *Dla towiańszczyzny Mickiewicz odepchnął od siebie najlepszych swoich przyjaciół i na każdym kroku się kompromitował. To też zrażony niewdzięcznością, zaczął chłodnąć dla towiańszczyzny. Ale już ani swojej twórczości, ani dawnego stanowiska wśród katolików nie odzyskał, choć w r. 1853 mógł X. Terlecki zapewnić Piusa IX, że „Mickiewicz jest teraz oddanym i posłusznym Synem Waszej Świątobliwości” — Tyle dobrego, co był zdziałał dawniej, a mianowicie: przyłożenie się do odrodzenia religijnego wśród Polaków i do powstania nowego Zakonu, zapewne przez P. Boga policzonem mu zostało i przeważało to, co czynił raczej w pewnym zapomnieniu się, niż w złej woli.*

Może więc P. Bóg wybaczył Mickiewiczowi jego przerażliwe, zdaniem zmartwychwstańców, brednie od *Ody do młodości*

Hieronim Kajsiewicz ostrzega przed Rutkowskim

przekonać Ojca Świętego do Nowego Objawienia i zbudować Legion. A także utorować drogę Towiańskiemu do następcy Świętego Piotra. Gdyby nie księży zmartwychwstańcy, to by mu się udało. Mickiewicz wierzył, że dzięki jego rzymskiej wyprawie zmieni się skóra świata. Teodor Ernest Rutkowski czuł powagę chwili.

Andrzej Rutkowski czepiał się papieskiego powozu i domagał sprawiedliwości. W czym mu księży zmartwychwstańcy zawinił — nie dowiemy się chyba nigdy. Ale Andrzej Rutkowski krzyk podniósł w dniach przyszłością brzemiennych dla zakonu księży zmartwychwstańców, dla Mickiewicza, dla Towiańskiego. Dla kapłanów i dla kacerzy.

Księża zmartwychwstańcy rzucili się z impetem na Adama i Andrzeja, tak długo się starali i tyle trudów włożyli w potępienie rzekomych herezyków, jakby istotnie w osobach poety i rejenta księży ciemności zagroził Polsce, Kościołowi i wszystkim ludziom dobrej woli.

Książdz Paweł Smolikowski w rozprawie „*Stosunek Adama Mickiewicza do XX. Zmartwychwstańców*” napisał blisko sto lat temu, że arcybiskup Paryża pozwolił polskim księżom „z Mickiewiczem obcować” i nawet podobno rzekł: *Biedny to człowiek, [...] Was on zdaje się bardzo cenić i kochać; starajcie się go pozyskać dla wiary łagodnością*.

Książdz Paweł Smolikowski przekonywał, że zmartwychwstańcy podchodzili do Mickiewicza z miłością i postępowali z nim łagodnie, aż nadszedł dzień, kiedy już dłużej wytrzymać nie mogli: *Tak trwało czas jakiś, aż Mickiewicz publicznie nie ogłosił herezji Towiańskiego z katedry profesorskiej. Było to 19 marca 1844 r. Zapowiedziawszy od dawna już wykład „Biesiady”, pisma według niego boskiego, bijąc wciąż z wielką gwałtownością, gniewem i gorzką ironią na Kościół i duchowieństwo, w dniu tym rzekł: „Przynoszę wam nowe życie, prawdę objawioną. Kiedy mi poruczono ogłoszenie, uczulem w sobie szczęście, którego już nigdy nie zapomnę, którego mi nie wydrze żadna ludzka potęga; będzie ono trwać przez całe me życie, przez wszystkie me życia”.*

Przybierając postać uroczystą mówił dalej: *„Innemu zostawiono wzniesienie się do światłości słońca, jam jedną z iskier, mojem posłannictwem jest ogłaszać wam prawdę objawioną i robić, co w mojej mocy. Dlatego wzywam wszystkich dobrej woli, niech powiedzą, czy uznają tę prawdę objawioną, tak lub nie?”. Tu wszyscy towiańszczyńcy i kilku młodych Francuzów powstawszy, zawołano z wyciągniętymi rękoma: „Tak, tak, uznajemy”. „Czy uznajecie mnie za świadka tego objawienia?”, „Uznajemy, uznajemy” — zawołali chórem w największym zapale.*

Podczas tego niektóre kobiety plakały przytłumionym głosem. Jedną młodą Francuzką, siedząc blisko katedry, powstała, a złożywszy ręce jak do modlitwy i trzymając je na wysokości głowy, stała zwrócona do profesora, który mówił dalej cichszym głosem: *„Bracia moi, widzieliście w pośród was tego objawiciela; przyrzekacie mi, że za nim pójdziecie?” — „Tak, tak, pójdziemy, choćby na ukrzyżowanie”. „Moje posłannictwo jest dopełnione”, dodał profesor, który za każdym razem, kiedy towiańszczyńcy przysięgali, trzymał rękę wyciągniętą poziomo.*

Przy wyjściu dwóch uczniów ucałowało rękę Mickiewicza. *Polacy i cudzoziemcy obecni, jakby ze snu przebudzeni, zaczęli wychodzić, oburzeni jedni, ciężko zasmuceni drudzy, śmiejąc się niektórzy.*

Takie jest rozwiązanie aktu pierwszego tej żalobnej, a prawdziwie nieboskiej krotoczwili — wola pod świeżym wrażeniem w owym czasie X. Kajsiewicz — Bóg i Chrystus Jego zbłązniony; nowa, pierwsza za Polską, a nadzwyczaj zuchwała

poczynając, przez *Konrada Wallenroda* i wiersh *Do Matki Polki*, przez *Dziadów części III, Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego*, a na wykładach w Collège de France kończąc, skoro jednak Mickiewicz coś dobrego i pożytecznego w życiu zrobił, to znaczy przyłożył rękę do powstania zmartwychwstańców. Reszta jego postępków — to nieprzebrane pokłady wszelkich brudów, zdrad i podłości.

W „Przeglądzie Poznańskim”, w periodyku założonym i redagowanym przez zmartwychwstańców oraz ich „brata zewnętrznego” — Jana Koźmiana, ukazał się artykuł *Katedra literatury sławiańskiej we Francji*, w którym powiedziano wprost, że: *Mickiewicz zmarnotrawił swoje powołanie, poniżył nas przed obcymi, którym, jako mówiono, najpierwszy, jeniałny między Słowianami, co przedstawił? Mimo najprzyjaźniejszych usposobień dla Mickiewicza, usprawiedliwić go nie zdołamy. Przezeń katedra straciła swoje pierwsze znaczenie. Przezeń do umysłu Europy weszło o Polsce, o Rosji, o Słowianach najdziwniejsze zamieszanie. Przezeń zlamana się, może zniknęła potęga, która nasze piśmiennictwo, nasze duchowe życie wykształcać mogła.*

W innym numerze „Przeglądu Poznańskiego” anonimowe pióro udowodniło, że od wczesnej młodości Mickiewicz był podejrzany: *Wśród sprzyświeżeń litewskich wyrobił się Adam Mickiewicz. Znalazł on wiarę w podziemne środki i wszedł w otwarty przed sobą zawód knońw tajemnych. Cnotliwej, prostej prawdy, najkorzystniejszej prawdy nie przejrzał, nie stanął przeciw głównym mieszanom, dał się porwać prądowi. [...] Zrazu przechodził próby cierpień serca i wtedy należał do tajnych związków, zagroził potem w zmysłowych rozkoszach, co opowiadał potężną i ognistą mową, niedobry wzór młodszemu pokoleniu stawiając. [...] Przyszła chwila nawrotu do religii. [...] Poważniejsze zboczenia mistyczne pomijamy. Nie przydały one ani jednego promienia do ideału jaki naród już był z rąk jego przyjął.*

Ideał Mickiewicza, wedle nas, szkodliwy jest dla Polski [...]. Mickiewicz raczej dumę w młodziży Polskiej podnosił i uczucie jej drażniąc, jak umacniając w sercach i umysłach pojęcia moralne, raczej schlebując namiętnościom, jak ucząc powściągliwości, raczej dając przykład jak wzywać Pana Boga, niżli jak się modlić do niego, przyczynił się, naszym zdaniem, do obłąkania sumień polskich.

Mickiewicz nie posłuchał księży, więc nie był prawym Polakiem i katolikiem wedle ich manier i wyobrażeń Polaka, katolika oraz służby Bożej. Mickiewicz postanowił szukać Boga sam. Dlatego zmartwychwstańcy starali się pokazać światu [i duchowej władzy], że Mickiewicz to oszust, kłamca, zaprzaniec, zdrajca nawet i w dodatku Żyd. Że Mickiewicz to Wielki Uzurpator.

Walka trwała długo i zmartwychwstańcy nie przebieżeli w środkach. Dwóch spośród nich odegrało w tej walce rolę zasadniczą, choć różną: Hieronim Kajsiewicz i Piotr Semenenko. Edward Duński zmartwychwstańców opuścił. Doszedł do przekonania, że prawdziwe przesłanie duchowego założyciela zmartwychwstańców — Bogdana Jańskiego — księży zdradzili. Duński uznał w Towiańskim swego mistrza, a w Adamie ujrzał kacerza kacerzy, bo Mickiewicz też w końcu Towiańskiego nie usłuchał.

Więc krzycze: „Giustizia! Giustizia!” i rozrzucam gołą ręką wciąż tłący się stos.

Krzysztof Rutkowski

Fragment książki STOS DLA ADAMA ALBO KACERZE I KAPLANI. STUDIUM W CZTERNASTU ODSŁONACH O SPORZE ZMARTWYCHWSTAŃCÓW Z TOWIAŃCZYKAMI, która ukazuje się nakładem „Historia pro futuro” i Wydawnictwa „Bellona”.

LIST Z HISPANII

L iteratura polska jest zdecydowanie mniej znana na Półwyspie Iberyjskim aniżeli hiszpańska w Polsce. Tylko nieliczne utwory naszych pisarzy zostały przetłumaczone na język Cervantesa, to znaczy na kastylijski, zwany potocznie hiszpańskim. Od kiedy poszczególne prowincje Półwyspu wywalczyły autonomię dla szkół i instytucji, powróciły w nich rodzime języki, odradzając się narodowe literatury, podejmowane są wysiłki popularyzowania ich na zewnątrz, a równocześnie popiera się tłumaczenie obcej literatury pięknej na ojczyste języki. Jedną z najbardziej aktywnych prowincji jest Katalonia, mająca bogatą tradycję kulturalną sięgającą średniowiecza. W owych czasach literatura pisana w języku katalońskim odgrywała główną rolę na Półwyspie dostarczając wzorów Kastylii. Małżeństwo Izabeli Kastylijskiej i Ferdynanda Aragońskiego połączyło oba królestwa i Katalonia stopniowo traciła niezależność, coraz bardziej podporządkowana Madrytowi. Przez wieki Katalończycy starali się odzyskać swoją suwerenność. Jeżeli opór przeradzał się w otwarty bunt, jednym z narzędzi represji był zakaz używania narodowego języka. Ostatnim takim okresem były czasy dyktatury frankistowskiej. Oficjalne zakazy nie mogły doprowadzić do poniechania ojczystego języka i Kataloń-

na przez żonę Sagarry, Dorotę Żbikowską, młodą plastyczkę, która wraz z mężem propaguje ojczystą kulturę. Ekspozycji towarzyszyła prezentacja przekładu dramatu *Mątwy, czyli Hyrkaniczny światopogląd* dokonanego przez J. M. de Sagarrę, a wydane przez Instytut Teatru w Barcelonie. Oba te wydarzenia wzbudziły entuzjazm krytyki.

Witkacy jako pisarz trafił do Hiszpanii już w 1974 r. Przełożono wówczas na język hiszpański *Nienasyconie*. Wydarzenie to przeszło jednak prawie niezauważone. Teraz natomiast krytycy przyjęli entuzjastycznie nowy przekład. Pisano o życiu artysty, łączono jego nazwisko z wcześniej już znanymi w Hiszpanii Witoldem Gombrowiczem i Brunonem Schulzem, nazywając okres ich działalności, dwudziestolecie międzywojenne, *złotym wiekiem* kultury polskiej. Dobry przyjęcie twórczości dramatycznej Witkiewicza ułatwił długotrwały kontakt Tadeusza Kantora z Katalonią. Bywał tam niejednokrotnie ze swym teatrem, zawsze zyskując aplauz publiczności i niesłychanie przychyłne recenzje krytyki. J. M. de Sagarra tłumaczył wówczas na język kataloński scenariusze sztuk wystawianych przez T. Kantora.

Starając się o odpowiednie zrozumienie polskiego pisarza Sagarra uzupełnił tekst dramatu tłumaczeniem *Teorii czystej formy* Witkacego oraz *Partytury Mątwy* pozostawionej przez Kantora i udostępnionej tłumaczowi przez Cricotkę. Tłumaczenie Witkacego nie jest zadaniem łatwym, czego tłumacz nie kryje we wstępie.

Rok Witkiewiczowski w Katalonii

czycy zawsze się nim posługiwali w życiu codziennym. Ten upór drażnił szczególnie w koszarach i rekruci z Katalonii zyskali przydomek „Polacy”, który rozprzestrzenił się również poza szeregi wojskowe i bardzo często spotyka się go w życiu codziennym. Nie jest to dla nas przydomek uwłaczający. Oznacza po hiszpańsku osobę mówiącą niezrozumiałym językiem. Tak jakby u nas rzekło się: „mówi po chińsku”. Widać z tego, jak mało znany jest nasz język na Półwyspie. Nazywanie Katalończyków Polakami zyskało nam ich sympatię. Katalończycy często porównują swoją historię będącą również nieustanną walką o suwerenność do naszej. Nie zapominają o świetności polskiej kultury i stawiają swego wielkiego średniowiecznego filozofa i pisarza Rajmunda Llullia obok Mikołaja Kopernika, a Fryderyka Chopina obok znanego modernistycznego architekta Antonia Gaudiego. Mamy również odległe koligacje dynastyczne, o których wspomina Gabriela Makowiecka w *Po drogach hiszpańsko-polskich* (WL 1984); prawnuczka Bolesława Krzywoustego, doña Sancha, córka Ryksy i Alfonsa VII kastylijskiego była królową Katalonii i Aragonii. W Katalonii jest bardzo korzystny klimat dla propagowania naszej literatury i sztuki, a władze lokalne nie szczędzą pieniędzy na popieranie tych inicjatyw.

Kilka lat temu Instytut Filologii Romańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego podpisał umowę z Uniwersyteciem w Barcelonie, na mocy której wprowadzono lektorat języka polskiego i katalońskiego w obu uniwersytetach. Nasz język nie przyciągnął tłumów, ale wśród tych niewielu znalazł się Josep Maria de Sagarra i Angel, obecnie zapalony popularyzator naszej kultury w Katalonii. Jest on wnukiem jednego z największych współczesnych poetów katalońskich, synem krytyka teatralnego, sam natomiast poświęcił się pracy przekładowej, szczególnie — współczesnej dramaturgii polskiej. Dotychczas znany był tam teatr Sławomira Mrożka. Jego *Emigranci i Tango* grywano na katalońskich scenach w przekładzie Polaków osiadłych w Barcelonie, a sam dramaturg był na premierze *Emigrantów* i spotkał się z publicznością. W 1990 r. Sagarra przetłumaczył *Ludzi cesarza* Zygmunta Hübnera, sztukę natychmiast wystawioną w licznych teatrach. Obecnie zajął się promowaniem Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Rok 1994 nazwany jest przez prasę *rokiem witkiewiczowskim* lub *operacją Witkacy*. Zaczęło się od styczniowej wystawy portretu Witkiewicza zorganizowanej przy współudziale Ministerstwa Kultury i Sztuki RP, Muzeum Narodowego w Warszawie i w Krakowie, Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza z Warszawy oraz Ambasady Polskiej w Madrycie. Wszystkie czasopisma zamieściły znany autoportret artysty z r. 1913. Pojawily się liczne recenzje omawiające nie tylko wystawę, ale również przedstawiające Witkiewicza na tle ówczesnych prądów artystycznych. Wystawa została zorganizowa-

Już sam tytuł następcza trudności — mątwą stała się ośmiornicą, gdyż zdanie „to jest mątwą a nie kobietą” nie miałoby sensu po katalońsku. Jak wiadomo język Witkiewicza jest bardzo trudny chociażby ze względu na neologizmy. Autor katalońskiej wersji zapoznał się z tłumaczeniami polskiego pisarza na inne romańskie języki, aby zobaczyć, jak inni rozwiązyli sprawę imion własnych (np. takich jak Bezdeka). Słowa obcojęzyczne w polskim tekście stanowią również problem, ponieważ mają swoiste znaczenie, ale rozumiały tylko w Polsce, gdzie nie jest wszystko jedno, czy to słowo francuskie, angielskie, niemieckie, czy rosyjskie; każde z nich ma swoją aurę skojarzeniową, nieczytelną w Katalonii. Z wszystkimi tymi trudnościami tłumacz poradził sobie w moim przekonaniu dobrze; przekład jest wierny a zarazem czytelny dla odbiorcy nie znającego naszej kultury i tradycji. Sagarra wyjaśnia we wstępie, że wybrał ten właśnie dramat Witkiewicza, ponieważ autor realizuje w nim w sposób doskonały swoją teorię artystyczną.

W dalszych planach obchodów roku poświęconego Witkacemu przewidziane jest wydanie przez Uniwersytet w Barcelonie *Teorii czystej formy* w tłumaczeniu Sagarry oraz projekcja filmu Mariusza Trelińskiego opartego na *Pożegnaniu jesieni*, jak również wystawienie *Mątwy*, która otworzy jesienny sezon teatralny. Zostaną także wydane dalsze przekłady Witkiewicza pióra Sagarry (*Narkotyki*), planowane są odczyty itd.

J. M. de Sagarra popularyzuje Witkiewicza nie tylko przez tłumaczenia, ale również poprzez artykuły zamieszczone w prasie oraz przeglądach specjalistycznych. Publikacje te pozwalają czytelnikom zrozumieć katastrofizm Witkiewicza w kontekście historycznym, i — przez porównanie go z innymi znanymi twórcami europejskimi — przybliżają jego sylwetkę.

Miejmy nadzieję, że rok witkiewiczowski nie będzie wyjątkiem i po nim nastąpią lata poświęcone innym pisarzom i artystom polskim, a Polska będzie również zainteresowana propagowaniem kultury katalońskiej, że znajdą się pieniądze i sponsorzy gotowi wesprzeć te zainteresowania. Entuzjastów takich jak Josep Maria de Sagarra nie brak i u nas; są to ci, którzy uczą się języka katalońskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim. Pierwsze kroki już zostały poczynione; „Przekrój” zamieścił w ubiegłym roku przekład opowiadania Pere Caldersa. Polacy również popularyzują naszą kulturę w Katalonii. Grzegorz Gryc, pracownik Instytutu Filologii Romańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego przetłumaczył na kataloński *Raport z obłąkanego miasta* Zbigniewa Herberta, a w Polsce propaguje literaturę katalońską tłumaczeniami Mercé Rodoreda i Pere Caldersa. Istnieje więc korzystna sytuacja dla dalszej działalności przekładowej, co miejmy nadzieję sprawi, że powiększy się koło odbiorców literatury katalońskiej u nas, a polskiej w Katalonii.

Teresa EMINOWICZ

CAMERA OBSCURA

wnictwo „Unia Verum”, że po raz pierwszy w Polsce wydało „Dzieła wszystkie” Horacego w przekładzie jednego tłumacza. Bibliografia temu zaprzecza: przedtem całego Horacego przetłumaczyli Marcin Fiałkowski (1818), Marceł Motty (1896), Jan Czubek (1924), Stefan Gołębiowski (1980). (hm)

Leszek Żuliński („Wiadomości Kulturalne” nr 10) praży mitologiczną erudycją, powiada, że w kampaniach publicystycznych Tadeusza Żeleńskiego (Boya) „za nim — krok w krok — szła wierna Eurydyka”. Zdanie to jest arcydziełem niefortunnej aluzji. Najpierw: pamięta się, że to Orfeusz poszedł za Eurydyką do Hadesu (a nie to, że ona wracała stamtąd za swym mężem, dopóki się nie odwrócił); następnie: Eurydyka nigdy nie była traktowana jako uosobienie wierności; wreszcie — jeśli tę wierność się zaakceptuje, to jakże można porównywać z Eurydyką Irenę Krzywicką, która z zasadą wierności małżeńskiej dyskutowała, i w swym własnym życiu programowo jej nie praktykowała? (hm)

W tychże „Wiadomościach Kulturalnych” (nr 9) Wojciech Kaczkowski tłumaczy tytuł pewnej niemieckiej pracy o podziemnym Uniwersytecie Jagiellońskim „Leben als ob” jako *Życie podziemne*. A tymczasem tytuł ten jest dokładnym odpowiednikiem *Życia na niby* Kazimierza Wyki (hm)

Zofia Bystrzycka opowiada w książce *Karnawał w mateczniku* (s.142) jak to Magdalena Samozwaniec i Janusz Minkiewicz spirali się ze sobą, kto z nich wymyślił makabryczny komplement „Była pani królową tego pogrzebu”. Tymczasem — był to jeden z najbardziej znanych, przedwojenny oczywiście, koncept Franza Fiszera. (hm)

W notatce *Imperium kontratakuje* Elżbieta Morawiec („Arka” nr 51) oburzając się na sponsorowanie przez polskie Ministerstwo Kultury i Sztuki premiery „Ślubu” w Wilnie w języku rosyjskim, ironizując: „Śledujesz Bał u Sienatora podle Mickiewicza dożen proischođit na russkom jazykie”. Autorka, jeśli chce używać rosyjskiego, nawet dla celów polemicznych, powinna się w nim trochę podciągnąć. Bo „podle Mickiewicza” (jota w „Mickiewiczu” zastosowana przez Morawiec jest niepotrzebna) znaczyliby po rosyjsku „obok Mickiewicza”. A miało być: „według Mickiewicza”, czyli „po Mickiewiczu”. (hm)

CHAM (tak podpisano) w związku ze zmianą nazwy ulicy Henryka Biernackiego na Edmunda Biernackiego w Krakowie oświadcza w „Nie” (nr 31) „Bóg jeden wie, czym się obaj i w czym zasłużyli”. Gdyby CHAM zajrzał do encyklopedii, dowiedziałby się, że Edmund Biernacki to jedna ze sław medycyny polskiej, a powszechnie znany skrót — O.B. — oznacza właśnie „odczyn Biernackiego”. (hm)

Tamże CHAM poucza czytelników, że Alojzy Feliński to autor wiernopoddańczej pieśni dla cara Aleksandra I pt. „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”, przy czym „p. Feliński wcale nie miał na myśli p. Boga lecz cara”. Głupstwo na głupstwie! Pieśń, o której mowa, to „Boże coś Polskę”, a formuła „racz nam wrócić Panie” nie od autora pochodzi (w tekście pierwotnym było: „Naszego króla zachowaj nam, Panie!”) i oczywiście odnosi się do Boga, a nie do Aleksandra I — rymuje się przecież z „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie”. Wystarczy chwilę pomyśleć, by takich bzdur nie pisać. (hm)

Ale co się tu dziwić „Nie”, skoro w „Wiadomościach Kulturalnych” (nr 12) Jacek Nowicki twierdzi, że tenże nieszczęsny Alojzy Feliński był księdzem i kompozytorem (m.in. „Boże coś Polskę”. I jedno i drugie — nieprawda). Melodię do hymnu ułożył Jan Nepomucen Kaszewski, ok. r. 1860 zastąpiono ją melodią pieśni kościelnej „Serdeczna Matko”. (hm)

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: KRAKOWSKA FUNDACJA KULTURY, ul. Kanonicza 7, 31-002 Kraków, tel. 22-47-73. Adres redakcji: ul. Kanonicza 7. Redakcja: Marta Wyka (redaktor naczelny), Zbigniew Baran, Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski, Włodzimierz Maciąg, Aleksander Pieniek (grafik), Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska, Teresa Walas (sekretarz redakcji). Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Waclaw Iwaniuk (Kanada), Julian Kornhauser, Stanisław Lem, Jerzy Lohman, Leszek A. Moczulski, Maria Niemojowska (Londyn), Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Małgorzata Ruda, Jan Józef Szczepański, Witold Turdza. Skład i łamanie: ARTA WYDAWNICTWO, Kraków, Rynek Gł. 6, tel. (0-12) 21-18-14, fax (0-12) 21-13-08. Druk: Drukarnia ASSICO, 90-532 Łódź, ul. ks. Skorupki 17/19. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty na rok 1994: kwartalna wynosi 60.000 zł, półroczna 120.000 zł, a roczna 240.000 zł; za granicą kwartalna wynosi (licząc w dolarach USA) 10\$, półroczna 20\$, a roczna 30\$. Wpłaty prosimy dokonywać na: Krakowska Fundacja Kultury, Bank Przemysłowo-Handlowy, IV Oddz. w Krakowie — nr 323415-709987-132-3 ISSN 0867-4094

Marta Wyka Koncert ambitnych samouków

1 Tak brzmi podtytuł książki Joanny Olczak-Ronikier o „Piwnicy pod Baranami”, można by go zmieniać i przeinaczać, wstawiając w jego miejsce na przykład „wylęgarnię artystów” albo „azyl elit”, albo „wesołą młodzież krakowską z inteligentnych domów”, albo „psy czekają karawana idzie dalej”, albo parę innych jeszcze autoironicznych kwalifikatorów. Rozumiem autorkę: nie chciała popaść w pompatyczność, ale chciała jednak napisać monografię kabaretowego czynu; odtwarzając historię Piwnicy na przestrzeni bez mała 40 lat musiała stać się dziejopisem, choć jej narracja odsuwa na plan dalszy dziejowe fakty. Mówi się („Kraków działa”) — twierdził kaśliwie Brzozowski), iż książka ta zdążyła już wzbudzić wiele emocji. Odezwały się krzyki oburzenia tych, co nie znaleźli się w skorowidzu nazwisk; i tych, których zdjęcia nie przyozdobiły kart dzieła. To znakomity prognostyk: Piwnica dalej działa, zarówno ta z dawnych lat, jak zapewne ta dzisiejsza. Wywyższa się ją i poniża. Jedni chcieliby w niej widzieć Tajne Bractwo, inni — jak wiemy — Gniazdo Wszeteczeństwa. W międzyczasie ambitni samoucy już dawno stali się starymi profesjonalistami różnych dziedzin i gałęzi wiedzy i sztuki.

Co zaś dała Piwnica nam, akolitom, ale również uczestnikom pewnej formacji, dzieciom PRL-u, które swoimi chytrymi sposobami broniły się przed miazmatami realnego socjalizmu?

2 Zanim spróbuję odpowiedzieć na to poważne pytanie, wracam do książki. Joanna Olczak potrafi doskonale posługiwać się metodą collage'u, łącząc zatem ze sobą różne formy wypowiedzi — list, wywiad, fragment dziennika czy pamiętnika, urywki tekstów wykonywanych w Piwnicy, komentując je bądź pozostawiając im swobodę istnienia bez przypisu; lecz duch autorki czuwa nad tą pozornie anarchiczną magmą, tkwi w wyborze takich a nie innych tekstów, wreszcie udziela sobie mocy komentującej. Na pierwszy rzut oka nieosobista — właśnie ze względu na metodę oddawania głosu innym — książka ta okazuje się w finale (i nie tylko w nim zresztą) wypowiedzią bardzo osobistą, bardzo emocjonalną i bardzo — programową. Nie chciałabym tutaj nazbyt macerować duszy autorki, znanej z tego, iż woli (w swoich scenariuszach chociażby) kryć się za szarą adaptacją dzieł już napisanych. Ale to tylko metoda, tylko wybieg, który przysiania (ale nie do końca szczerze) „ja” autorki...

Bo kolejny scenariusz — ten z dziejów Piwnicy — jest już gotów do odegrania. Kiedyś oczywiście już go wykonano. Gdyby uczynić to raz jeszcze — okazałby się przede wszystkim historią pewnej młodości na tle dziejowym. Przypatrzmy się jej.

Zacznę jednak od czegoś innego. Otóż nieprzemijająca — jak się wciąż okazuje — rola Piwnicy polega, moim zdaniem, na jakiejś szczególnej umiejętności uruchamiania i pielęgnowania snobizmów. Od razu dodam — afirmuję to pojęcie, bo myślę, iż tkwi w nim siła kulturotwórcza podobna do tej, jaka przypisywana jest skandalom. To nie znaczy, iż Piwnicznianie byli od zarania grupą snobów. Oni w nas budzili burzę uczuć skomplikowanych, wśród nich chęć wyłącznej miłości, chęć uczestniczenia w ich wspólnocie tajemniczej, radość z powodu dostąpienia do uczestnictwa, oni wyzwalali humor absurdałny bez zobowiązań, ale bywali kapryśni i zmienni, nigdy nie było się pewnym ich miłości, która mogła okazać się zupełnie przelotnym uczuciem. Piwnica ominęła — bardzo szczęśliwie — rąfki satyrycznego kabaretu — i wypłynęła na wody tak obszerne, iż żeglują po nich do dziś. Ale jej czasy bohaterskie przypadły — tutaj zgadzam się z autorką książki — na lata 1956-1966. Dlaczego? Joanna Olczak odpowiada na to pytanie proporcją wykorzystanego materiału z historii Piwnicy. Im bliżej dnia dzisiejszego, tym skąpiej. Powód tego stanu rzeczy jest jeszcze jeden, niezwykle prosty: to oddalenie w czasie pozwala dostrzec ostre i jednoznaczne zarysy rzeczy minionych. To perspektywa kształtuje nasze wspomnienia i tak również stało się w tej książce. A co z historią pewnej młodości?

Czasy zamierzchłego PRL-u, na które ta młodość przypadła, to była przede wszystkim nuda oraz uniformizacja. I proszę nie mówić o martyrologii, ponieważ nie mieliśmy aż tak wyostrzonej świadomości jej istnienia. Nudne

były filmy i ulice, nudne książki i nudna muzyka; ale to była nasza najbliższa rzeczywistość i chcieliśmy ją koniecznie przemałowić, poruszyć i ożywić. Zatem te nasze przemiany rozgrywały się w mentalności, nie w historii, i Piwnica odegrała tutaj rolę kolosalną. Historia toczyła się na drugim planie — plan pierwszy był w gruncie rzeczy domeną zabawy i sztuki. I tak właśnie to widzę po wielu latach, i podobnie pragnie zdefiniować Piwnicę Joanna Olczak. Ich magia udzielała się wiernym wielbicielom, bo pozwalali brać udział w swoich zabawach (ale reguły gry oni dyktowali) i wolno było wierzyć, iż każdy nosi w sobie lut artysty. Z tych zaś, co nigdy nie chcieli się przyznać do grama chociażby artystycznej natury, wywodzą się, jak miemam, przeciwnicy Piwnicy.

Ale istnieje jeszcze coś takiego, co nigdy nie podda się próbom zracjonalizowanego opisu. To — jakby powiedzieli moderniści — Odwieczna Tajemnica Sztuki. Piwnicznianie często ją wyśmiewali poprzez parodie stylu moderny — ale zauważyliśmy, iż sami również własne obszary niedookreślenia stworzyli i wyznaczyli. Jest to zapewne również kwestia ekspresji — tej jedynej, piwnicznej — ale też kwestia umiejętności budowania nastroju i przetrwania pomostu porozumienia między artystą i widzem; po latach okazuje się, iż jego przesła były trwalsze, niż to się mogło niegdyś wydawać. Najlepiej — moim zdaniem — napisał o tym Miki Obłoiński: „...I nagle poczuł się jakby jakiś wiew z zaświatów, metafizyczny dreszcz, który od nas szedł do widzów i z powrotem... / Leszek skończył piosenkę. Potem w zupełnej ciemności zaśpiewaliśmy Przyszodźmy, odchodzimy... i nastąpiło coś takiego, jak podczas psychodramy czy seansu psychoterapeutycznego... / widzowie i artyści płakali, śmiali się, i równocześnie była między nami zdumiewająca bliskość i intymność. Parę razy w życiu przeżyłem dzięki Piwnicy takie momenty, kiedy przez zbieg okoliczności czy inne przyczyny tak wzrastało napięcie na sali, że czuło się to fizycznie, trudno było je wytrzymać. Właściwie nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Każdy przeżywał to bardzo osobiście i tylko potem strasznie wszyscy pił!”.

Kiedy teraz przypominam sobie, dzięki Joannie, różne piwniczne teksty, widzę, jak wiele wziął kabaret z doświadczenia 20-lecia — czyli od naszych rodziców. Bo i Baliński, i Leśmian, i Tuwim, i Czechowicz — oni byli gwiazdami tamtej przedwojennej młodości; i trochę z niej żyło w Piwnicy dzięki straszonym, niesfornym dzieciom.

Zacząłam od snobizmów. I one podległy przemianom w czasie. I chociaż wciąż najsilniejszy wydaje się być w Piwnicy snobizm artystycznej mimikry — to jednak i on zmienia skórę. Z artysty ubogiego i szalonego rodzi się człowiek sukcesu. Oby się na tym skończyło. I ludzie sukcesu ciągną ku Piwnicy. Może szukają tam wspaniałej akceptacji swojego „ja”, infantylnego i wyzwolonego, pozbawionego przesądów wieku dojrzałego i na swój sposób „ubogiego”.

Długa to była droga: od potyczek z dozorczą Sztucą po apoteozę na Zamku Królewskim. Piwnica stworzyła pewną rzeczywistość i pewną mitologię. Wspominamy rzeczywistość, karmimy się mitologią. Następcy zaś piszą zapewne dalszy ciąg książki Joanny Olczak. Tę, która jest, czyta się jednym tchem. Istnieje, powtórzmy, jej potężny Zbiorowy Autor: płacze i śmieje się, plotkuje i wyzywa, ale wciąż chciałby, aby Piotr wywołał jego nazwisko na scenie, zdjął mu z twarzy maskę i wprowadził za rękę do Raju Artystów. Ja zaś przypominam sobie dawną piwniczną piosenkę, zupełnie zapomnianą, a wzruszającą mnie niegdyś do łez (kto ją śpiewał, chyba Świącicki):

Wino w kieliszkach, przekąska kusi mnie pończoch twych ażur i solferino podwiązka i koronkowy abażur ach nie ma na to sposobu twój zapal zaraz ustanie czas nam już dzisiaj do grobu pa, pa kochanie...

Artysta wstępuje po schodkach i filuternie macha rączką. Koniec, finał.

* Joanna Olczak-Ronikier, Piwnica pod Baranami, czyli koncert ambitnych samouków, Kazimierz Wiśniak, wybór ilustracji. Wydawnictwo Tenet, Warszawa 1994, ss.332.



Piotr Skrzynecki na wernisażu wystawy „Przyjaciele Piwnicy Pod Baranami”, Piwnica Pod Baranami Art Gallery, (Kraków, maj — czerwiec 1994), fot. Jerzy Szołt

DZIEJE PRL — Seria książek dla każdego

Ponad czterdziestoletni okres powojennych dziejów Polski kojarzy się w powszechnej świadomości z dziejami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, choć nazwa ta wprowadzona została dopiero wraz z konstytucją 1952 roku. Jest to już rozdział historycznie zamknięty, ale i mało znany, mimo że wszyscy, poza kilkuletnimi dziećmi, mamy go w swoich życiorysach. Bez wiedzy o tym minionym okresie niewiele zrozumiemy z dnia dzisiejszego.

Całościowe badania nad dziejami PRL długo nie były możliwe. Utrudniony lub wręcz zamknięty dla historyków dostęp do źródeł archiwalnych oraz istnienie cenzury, nie pozwalały wyjść poza ramy aktualnie określanego przez władzę partyjną oficjalnego obrazu. Stan ten mamy już na szczęście za sobą.

Inicjując serię DZIEJE PRL stawialiśmy sobie jako cel rzetelne i obiektywne przedstawienie powojennych dziejów Polski, aż po narodziny III Rzeczypospolitej. Tak powstało 18 tomików-zeszytów, a nazwiska ich Autorów są najlepszą gwarancją rzetelności i poziomu opracowania. Każdy zeszyt jest bogato ilustrowany zdjęciami archiwalnymi, rzadko, lub w ogóle nie publikowanymi.

Serię tę kierujemy do wszystkich, którzy chcą pozyskać wiedzę o najnowszych dziejach Polski, wzbogacić ją lub skonfrontować z już posiadaną. Dla nauczycieli, uczniów i studentów seria będzie znakomitym poszerzeniem i uzupełnieniem treści zawartych w nowych podręcznikach.

W serii DZIEJE PRL ukazują się sukcesywnie w 1993 i 1994 roku następujące tytuły:

Krystyna Kersten — *Rok pierwszy*
Jerzy Kochanowski — *Proces szesnastu*
Andrzej Paczkowski — *Zdobycie władzy (1945 — 1947)*
Andrzej Paczkowski — *Stanisław Mikołajczyk*
Andrzej Garlicki — *Stalinizm*
Andrzej Garlicki — *Bolesław Bierut*
Andrzej Micewski — *Kościół-Państwo w latach 1945 — 1989*
Zbigniew Landau — *Gospodarka Polski Ludowej*
Wiesław Władysław — *Październik '56*
Zbigniew Landau — *Polska Gomułki*
Paweł Machcewicz — *Władysław Gomułka*
Jerzy Eisler — *Marzec '68*
Jerzy Eisler — *Grudzień '70*
Andrzej Friszke — *Polska Gierka*
Jerzy Holzer — *Polska 1980 — 1981*
Miroslawa Marody — *Długi finał*
Sergiusz Kowalski — *Narodziny III Rzeczypospolitej*
Rafał Habielski — *Emigracja*

Oddając do rąk Czytelników pierwsze zeszyty, życzymy pożytecznej lektury i zachęcamy do gromadzenia serii!



00-950 WARSZAWA,
Plac Dąbrowskiego 8,
tel. 26-54-51 (centrala),
fax 27-92-80, telex 816132 WSiP pl.
ZAPRASZAMY
DO KSIĘGARŃ FIRMOWYCH
w WARSZAWIE
ul. Kredytowa 9, pl. Dąbrowskiego 8,
tel. 26-54-51 w. 170, 26-75-70, 26-01-76
w KRAKOWIE
ul. Sławkowska 11,
Księgarnia Literacka, tel. 22-47-73

Dział Marketingu

00-696 Warszawa, ul. Pankiewicza 3
tel. 628-24-91 wewn. 246, 283; tel./fax 628-95-73

Dział Akwizycji, Kiermaszy i Wysyłki WSiP

00-696 Warszawa, ul. Pankiewicza 3
tel. 628-24-91 wewn. 230, 214

Hurtownia WSiP

04-186 Warszawa, ul. Grochowska 21
tel. 610-69-06; tel./fax 610-67-95